

# Z PAPIERÓW PO KAROLU MARCINKOWSKIM

---

List do Emilii Szczanieckiej, opisujący spotkanie z Edwardem Raczyńskim w Zaniemyślu, w nocy z wtorku na srode, tj. z dnia 4 na 5 października 1825 roku

Droga Emilio Moja!

Pragnę oto spełnić Twój rozkaz – bo każde życzenie Twoje jest dla mnie rozkazem – i opisać swe spotkanie z hrabią Edwardem Raczyńskim, którym miał na wyspie jeziora zaniemyślskiego. Doprawdy nie pojmuję, dlaczego żądasz, bym przekazał Ci to sposobem pisemnym, dlaczego nie wystarczyłaby Ci ustna relacja moja przy najbliższym spotkaniu naszym, aliści nie ośmielam się wniknąć w to i piszę, lubo wykradam czas ten pisania biednym pacjentom moim, bo przecie nie mojemu spoczynkowi, na który z trudem stać mnie krótką nocą, trwającą zaledwie do piątej godziny rannej.

Był to początek października, kiedy idąc do domu na obiad, zastałem w nim sługę z pałacu Raczyńskich, który oznajmił mi, iż czeka na mnie powóz, by zawieźć mnie do Zaniemyśla, gdzie jaśnie hrabia leży zmożony ciężką chorobą. Objasniono mnie przy tym, że jaśnie pani hrabina jest już na miejscu i pielęgnuje małżonka, tak niedawno poślubionego.

No i tak się to zaczęło. Sama się domyślasz, Emilio Droga, iż zjadłem obiad naprędce i poszedłem do pobliskiego pałacu, gdzie powóz już stał rzeczywiście zaprzężony. Wsiadłem przeto, dano mi szubę, owinięto derami i takeśmy ruszyli w stronę Kórnika. Aliści podróży tej opisywać Ci nie będę.

Na wyspie zaniemyślskiego jeziora wylądowałem już wieczorem i od razu zostałem wprawiony w ruch energicznymi rękoma pani Konstancji, która głośno zawołała, iż jest szczęśliwa, że wreszcie jest, bo hrabia jest tak chory, że może umrzeć.

Chciałem biec co prędzej do łóżka chorego, atoli usłyszawszy, że ten akurat zmożony jest snem, siadłem z hrabiną w saloniku owego „szwajcarskiego domku”, który tu sobie Edward Raczyński pobudował z drewna. Wiedziałem już, bom o tym nieraz słyszał od różnych ludzi, że wyspę tę dzie-

dzicowi dóbr rogańskich darował na dożywocie dziedzic Zaniemyśla, Józef Jaraczewski z Polwicy, i że corocznie, w dniu będącym rocznicą objęcia wyspy w posiadanie, obdarowany ma złożyć ofiarodawcy gałązkę bluszczu jako znak przyjaźni. Wiedziałem także, że pobudowawszy na wyspie dom i połączywszy go z lądem przy pomocy drewnianego pomostu, hrabia urządza na jeziorze zabawy, nazywane bitwami morskimi.

Od tych to rocznic i morskich bitew rozpoczęła swą ze mną rozmowę Konstancja Raczyńska, gdym spożywając z nią późną wieczerzę poprosił ją, by mi określiła, skąd się wzięła choroba jej czcigodnego małżonka i jak się objawia.

Dowiedziałem się przeto, że Jaraczewski przybył do szwajcarskiego domu już w sobotę, pierwszego dnia października, bo w okrągłą rocznicę dziesięciolecia aktu nadania wyspy spotkanie ich i uroczystość miały potrwać dłużej, aże parę dni, i uświetnione zostać ową morską bitwą. Pierwszego dnia Jaraczewski oglądał zbrojownię Raczyńskiego na parterze domu, bo od momentu zakończenia swej służby wojskowej dziedzic Rogalina studiuje bez wytchnienia sztukę wojenną, zwłaszcza rusznikarstwo i topografię, i przy tej okazji zebrał mnóstwo całej mieczów, szpad, strzelb, pistoletów, armatek.

W niedzielę około południa, już po mszy świętej, zjechało się dalsze towarzystwo: brat hrabiego Atanazy, Adolf Czapski i proboszcz z Zaniemyśla. Po sutym obiedzie przystąpiono do stoczenia owej morskiej bitwy na jeziorze. Opiszę Ci ją, Emilio, w krótkości, albowiem to ona stała się przyczyną nieszczęścia, z którego poczęła się choroba hrabi.

Jedna flotylla żaglowców stała na lądzie zaniemyśskim, od strony kościoła, druga na wyspie, opodal drewnianego domu. W towarzystwie Jaraczewskiego, Czapskiego, brata i proboszcza wsiadł hrabia na stateczek admirański, by rozpocząć bój. Flotylle ruszyły do walki, zagrzmiały baterie nabrzeżne. Okręty stacjonowane na wyspie miały zdobyć wybrzeże. Statki chygotały się na falach, terkot karabinów zagłuszał okrzyki chłopów, przebranych za żołnierzy. Jedno, potem drugie czołno żaglowe położyło się na wodzie, a załogi salwowały się ucieczką, z mozołem spiesząc wpław do brzegu. I byłoby wszystko dobrze, gdyby Edward Raczyński swoim statkiem nie podpłynął do najbliższego obalonego czołna, pragnąc – daj Boże – ratować je od utonięcia. Wstąpił na burzę, trzymając się podanej przez brata dłoni. Już, już dosięgał kładącego

się na wodę masztu, już go ujął dłonią, już ciągnął do siebie, kiedy raptem lewa ręka wymknęła się z ręki brata, a hrabia runął do wody.

Gruntu nie było, miejsce należało do głębszych. Towarzysze próbowali ratować dowódcę, ten atoli oddalił się od nich w stronę wyspy. Zdołał, płynąc, zrzucić z siebie surdut i tym sposobem snadnie dobrnął do brzegu.

Nim jego towarzysze dostali się admiralskim statkiem na wyspę, borykając się po drodze z niesfornym wiatrem – zdążył już w domu wytrzeć się z wody, od nowa oblec i wrócić. Przez ten czas skończyła się aliści i bitwa, albowiem bez dowódcy nastąpiło rozprzężenie wśród załóg, a ktoś puścił nawet wieść, iż ten się utopił.

Nie obeszło się, pomimo wszystko, bez uczy. Na polanie, przy zastawionych jak zawsze stołach, siedli utrudzeni bojownicy. Wokół płonęły ogniska, a bractwo jadło i piło do wieczora. I to wszystko zapewne nie wyszło Edwardowi Raczyńskiemu na zdrowie. Kiedy w poniedziałek wstał był z łóżka, czuł w sobie gorączkę. Październikowa kąpiel w zimnej wodzie dała się jednak we znaki. Aliści wstał i zgodnie z uprzednim planem pojechał z Józefem Jaraczewskim, by obejrzeć jego pola i gumna. Czapskiego i Atanazego Raczyńskiego już nie było. Atoli zjadłszy na probostwie obiad, poczuł się hrabia całkiem źle. Wrócił do swego domku na wyspie i położył się, a pani Konstancja posłała do Poznania po konie i po mnie. Józef Jaraczewski trwał, bo przecie dopiero o północy, u progu czwartego dnia miesiąca października, miał hrabia wręczyć mu ową symboliczną gałązkę bluszczu, a nie chciał zepsuć owej zabawy...

Dlaczego posłano po mnie? Tego doprawdy nie wiem i o to nie pytałem, w każdym razie uczyniono to po raz pierwszy, pierwiej nigdy mnie do hrabiego nie wzywano, lubo ten niewątpliwie słyszał o mnie od mego protektora, księcia namiestnika.

I oto po jakichś dwóch kwadransach od momentu mego przybycia na miejsce pochylałem się nad łóżkiem pacjenta, dziewczka służebna bowiem, która czuwała była w jego komnacie, doniosła, że jaśnie pan się zbudził, a także, że kicha i kaszle. Gdy mnie ujrzał, wpatrywał się z niejakim zdziwieniem w pochylone nad nim oblicze moje, potem w surdut mój wysoko podpięty – jakby rachował jego guziki.

Nic nie mówiąc i chorego o nic nie wypytujac, dokonałem

ogłędzin i badania. Miał gorączkę, choć nie największą, i oskrzela zajęte. Wróżyło to moim zdaniem powrót do zdrowia po trzech dniach. Oznajmiłem przeto pacjentowi, że najgorsze ma poza sobą, że nie było to w ogóle nic groźnego, ot, ordynaryjne przeziębienie, lubo ostre. „Poleżysz pan hrabia ze trzy dni...” – dodałem.

„Trzy dni” – powiedział hrabia i na twarz jego wyległ nieznaczny uśmiech. „A wszyscy mówią, iżes pan cudotwórcą i sam namiestnik, książe Radziwiłł, zachwyca się pańską sztuką medyczną”.

Chyba zarumieniłem się, bom poczuł gorąc na policzkach swoich, mówiąc: „Pan hrabia raczy żartować, Jaśnie Książę Antoni Radziwiłł wspomagał mnie na studiach, lubo niczym nie zasłużyłem na jego sympatię. Może jeno tym, żem za czasów studenckich trudnił się mentorstwem i uczył dzieci pana namiestnika”.

„Nie, nie, to nie jedynie dlatego” – zapewniał hrabia gorączkowo. „Wiem co nieco więcej”. Nagle zmienił ton. „Ale, ale, ponoć z pana gagatek, doktorze, tako słyszałem. Namiestnik musiał cię ratować z politycznych opresji. Ponoć jako student działałeś pan w jakowejś nielegalnej organizacji? Jak to właściwie było?”.

Na to *dictum* spoważniałem i przybrałem ton rzeczowy, wyjaśniając, iż nie widzę niczego nielegalnego w działalności stowarzyszenia „Polonia”, które powstało z korporacji studenckiej, lubo było ono tajne.

Hrabia roześmiał się, po czym wyjawiał mi, iż wie, że owa „Polonia” działała pod jakowymś politycznym hasłem, groźnym dla Prusaków. Przypomniałem mu, że owszem, było to hasło „Wolność i Ojczyzna”.

Przymknął oczy. Widać było, że coś musiało targnąć jego wnętrzem. Nie wiedziałem, czyli mam jeszcze co mówić. Spojrzałem na małżonkę chorego, która patrzyła jakby z zacięciem pierwej na mnie, zasię na małżonka swego. Hrabia otwarł z powrotem oczy i rzekł: „Trzeba budować polskość, a nie wyniszczać ją bezmyślnymi zrywami, co młodych ludzi wiodą prosto do więzień”.

Po chwili znów opadły mu powieki, przeto uznałem rozmowę za zakończoną. Zakrzętnąłem się teraz wokół chorego, szukając medykamentów w mojej podróżnej torbie. Z pomocą pani Konstancji przygotowałem mikstury, którymi napoiłszy

pacjenta. Zasię nasmarowaliśmy jego plecy i piersi. Dopiero gdy zakończyłem swoje lekarskie powinności, powiedziałem:

„Pan hrabia raczyłeś osądzić, że młodzi wyniszczą Polskę. A przecie pan sam, doprawdy, walczyłeś o ojczyznę naszą, panie hrabio, a pańskie zainteresowanie sztuką wojenną i zabawy strategiczne na tutejszym jeziorze dowodzą tego, iżes nie zarzucił pan myśli o walce, że ćwiczysz się w wojennej sztuce. Pan wiesz lepiej ode mnie, panie hrabio, że o Polskę trzeba się bić. Czynią to ludzie w Królestwie, czynią na Litwie, czynią i u nas, w Księstwie. Nie skądinąd jak z Litwy przyszły do nas wzory organizacji studenckich. Tomasz Zan rzucił w Wilnie hasła działalności filomackiej, a przyjęły się one we wszystkich zaborach”.

Jego oczy zamknęły się znowu. Odczekałem dłuższego momentu, ciekawy, co jeszcze może. Nie odezwał się już. Może zapadł w drzemkę, bo oddychał miarowo, spokojnie. Oddaliliśmy się z panią Konstancją z komnaty, by uzgodnić plantę naszych działań. Poprosiłem, aby położyła się w komnacie sąsiedniej, oświadczając, że sam pozostanę przy chorym, by czuwać, a co najwyżej zdrzemnąć się w fotelu.

Edward Raczyński spał, jego pierś falowała rytmicznie, z ust dobywało się jednostanne sapanie. Twarz jego – zawsze dostojna i solenna – przybrała wyraz bardziej miękki, powiedziałbym nawet – bardziej ludzki. Zgasilem świece, zostawiając jeno jedną, postawioną na sekretarzyku i zanurzyłem się w fotelu, by podrzemać. Aliści nie opuszczały mnie myśli, zrodzone w krótkiej rozmowie z hrabią.

Doprawdy, ten człowiek przyczynił się – jak wiesz – do umocnienia polskości. Uczestniczył w zatrudnieniach parlamentarnych i tam bronił narodowych spraw. Podjął się wznieść w poznańskiej katedrze pomnik pierwszych królów polskich. Zaczął budowę wspaniałej biblioteki, w której zamierza udostępnić powszechnemu używaniu księgozbiór odziedziczony po dziadu swoim i pomnażać go własnym sumptem. Zaiste, jest tak, jako kiedyś powiedział: że pragnie uczynić Poznań polskimi Atenami. Gromadzi nie księgi jeno, bo i stare pisma, mapy, dzieła sztuki, rękopisy, broń starożytną. Zaczął takie stare rękopisy wydawać drukiem, słusznie tusząc, iż są narodowymi pamiątkami. Wydał także swoje wspomnienia z podróży, odbytych poza granice kraju, a zasię *Wspomnienia Wielkopolski*, zawierające szkice o rodzinnym kraju i

jego miastach. A żyje przy tym ponoć skromnie, niemal jako asceta, ze swych wielkich profitów najmniej wydając na siebie samego.

Atoli musiałem zasnąć pośród swego myślenia, bo kiedy mnie zbudził kaszel chorego, w komnacie panowała ciemność, co znaczyło, że wypaliła się świeca. Chybotał się jeno pod świętym obrazem ledwie widoczny płomyk oliwnej lampki. Przeto niemal po omacku odnalazłem lichtarz wieloramienny i zapaliłem jedną ze świec. Zoczywszy jednakowoż, że hrabia oczy ma otwarte i nie śpi – zapaliłem ich kilka.

Nie będę Ci tu, Emilio Droga, opisywał, cośmy razem z przebudzoną panią hrabiną Raczyńską czynili wokół chorego. Dość że gdy ta po wszystkim wyszła, by z powrotem ułożyć się do snu, a ja siadłem przy łożu chorego, który bynajmniej nie był tak śmiertelnie chory, jak się pierwiej zdawało jego połowicy – mój pacjent wrócił do przerwanej rozmowy, oznajmiając, że nie jest w tym momencie senny, gdyż spał w ciągu dnia. Zaproponował mi jednak, abym się zdrzemnął. Oświadczyłem na to, że nie będę spał, jeżeli on nie śpi.

Oblicze przebudzonego, trzeźwego hrabiego było znów dostojne, pełne władczej powagi. Począł mówić:

„Powiedziałeś pan, doktorze, że i ja przed laty walczyłem o Polskę. Aliści co inszego było wówczas, kiedy w 1806 roku Napoleon podniósł naród polski do walki o niepodległość. Tamte czasy minęły bezpowrotnie. Przed trzema laty poszedł w Manieczkach do grobu Józef Wybicki, ten sam, co niegdyś głosił, że Polska jeszcze nie umarła. Parę lat wcześniej w grobowcu winnogórskim złożono szczątki tegoż Henryka Dąbrowskiego, co to maszerował z ziemi włoskiej do Polski. Parę miesięcy temu w poznańskiej farze odprawiono nabożeństwo żałobne za duszę wielkiego Kościuszki... Odeszli wszyscy wodzowie walk o wskrzeszenie Rzeczypospolitej. I trzeba teraz budować polskość inaczej, po nowemu, tak, by niczego przy tej okazji nie psuć – tak jak budują się wszystkie nowoczesne społeczności. Jako żywo, czy trzeba koniecznie działać w konspiracji, kiedy chce się uczynić coś dla ojczyzny? Azaliż liczy się jeno czyn zbrojny, względnie gotowanie go? Zapewniam waści, doktorze, iż skoro by doszło do narodowego zrywu orężnego, nie stanąłbym na boku i zerwałbym się do walki tak samo, jakem to wbrew woli dziada swego uczynił przed dziewiętnastu laty. Aliści teraz? Czyż nie ma czasu pokoju między wojnami? Czyż nie trzeba tworzyć faktów

trwałych, stanowiących dorobek narodu? Jako żywo, w roku 1810 w stopniu kapitana, odznaczonego orderem *Virtuti Militari*, wróciłem z wojska i osiadłem w Rogalinie, by od tego momentu wieść żywot polskiego ziemianina. Prawda, w roku 1815 złożyłem przysięgę wierności królowi pruskiemu Wilhelmowi Trzeciemu. Azali mnie to przemieniło w lojalistę tego gatunku, co mój dziad Kazimierz? Nie. Uczyniłem jeno dokładnie to samo, co uczynili wszyscy Polacy, bądź co bądź to, co wszyscy ziemianie, co cała polska arystokracja. I nie wstydę się niczego. Ustanowienie Wielkiego Księstwa Poznańskiego – podobnie jak Królestwa Polskiego – było dziełem międzynarodowego kongresu w Wiedniu, przeto aktem legalnym, zobowiązującym wszystkich w Europie do przestrzegania jego postanowień. Lojalizm, pragnąłbyś doktor powiedzieć? Jakież lojalizm? Ordynaryjna praworządność i nic nadto. Jako żywo, podróżowałem potem, korzystając ze swych majątności. Byłem w Szwecji, w Laponii. W następnym roku wyruszyłem do Turcji i Grecji. Używałem życia. Zwiedziłem Północ i Południe, już rychlej, w czas studiów, zapoznawszy się z Zachodem. Wzbogaciłem swą wiedzę o świecie, o ludziach, bo jest ona przydatna Polakowi w budowaniu polskości. Opisałem zresztą swe podróże w książkach, wiedza moja stała się tym sposobem własnością ogółu. O co przeto chodzi? Czy to wszystko jest gorsze od nierozsądnego spiskowania i podstawiania głowy pod policyjne cięgi? Dlaczegoż ma się rachować jeno konspiracja?

Słuchałem jeno, nie wyrzekłem przez cały czas ani słowa. Gdy akuratnie zamierowałem przemówić, hrabia zawołał nagle, a jego olicze ożywiło się:

„Ale, ale! Coś niecoś ja jednakowoż słyszałem o waszej konspiracji, doktorze. Lubo jesteś pan synem właściciela traktierni, co ja doprawdy szanuję, jako żywo, to stałeś się bywalcem ziemiańskich domów. I to ponoć brat Emilii Sczanieckiej razem z panem prowadził konspiracyjne zatrudnienia w owej «Polonii»”.

Doprawdy, jużem zaczynał drzemać w toku przydługiego monologu pacjenta, bo noc była głęboka, aliści wspomnienie o Tobie, Emilio, sprawiło, żem ożywił się i badawczo spojrział w jego oczy. Czyż nie świeciły się błyskiem podejrzanym, jakby ich właściciel spłatał komuś figła? Nie na darmo wymienił przecie nie imię brata Twego, ale Twoje. Pewnikiem sobie coś przy tej okazji myślał... Toteż miasto mu dać odpowiedź

jakowąś, rzekłem, iż lękam się, że męczy go przydługie mówienie i tuszę, iż byłoby lepiej, gdyby zasnął.

Teraz Edward Raczyński uśmiechnął się wyraźnie, jakoby z triumfem. Pojąłem ten jego uśmiech, aliści pomyślałem i to, że świadczy on o powracaniu zdrowia. Moje mikstury i nacierania zrobiły swoje.

Uśmiech pozostał na jego obliczu, jednocześnie hrabia skinął głową na znak zgody i przymknął oczy.

Zasnęliśmy obaj. Zbudził mnie dopiero świt, przeciskający się przez okienne zasłony. Obudził się także wkrótce pacjent. Zjawiła się zaraz pani Konstancja, z którą pospołu zakrzątnęliśmy się wokół chorego. Otrzymał jeszcze jedno nacieranie i jeszcze jedną miksturę, małżonka umyła go osobiście i wreszcie podano mu śniadanie, przy którym także asystowała mu hrabina. Ja zaś poszedłem posilić się na dole.

Gdy wróciłem na górę, hrabia od razu wrócił do poprzedniego tematu i poprosił mnie, bym sam mu coś opowiedział o owym studenckim stowarzyszeniu, bo mamy przecie czas na to, by porozmawiać.

Zawahałem się. Po cóż miałem opowiadać o konspiracji człowiekowi przeciwnemu jej? Próbowałem odwlec odpowiedź na tę propozycję, przeto uśmiechając się zaproponowałem, by pierwszej przełknął jeszcze dwa proszki, które do reszty postawią go na nogi.

Spostrzegłem już, z jaką niechęcią odrabia Raczyński medyczną pańszczyznę, a te proszki chciałem mu jeszcze koniecznie zaaplikować. Chory spociał się w nocy; stanowiło to dobrą wróżbę. Mógł już teraz łącznie wrócić do zdrowia. Zdawało mi się, że leki postawione jako warunek mego opowiadania zostaną zgodliwie przyjęte.

Istotnie, tak się stało. Aliści nie zdziwiłem się, kiedy po przełknięciu opłatków pacjent wyciągnął się wygodnie na łóżku, jakoby oczekując mej opowieści. Zmierzyłem jednakże jeszcze jego tętno i sprawdziłem, jaką ma gorączkę. Spadła wyraziście. Rozsiadłem się więc w fotelu i zacząłem mówić o stowarzyszeniu „Polonia” i o jego wielorakich dążeniach – o utrzymywaniu ducha narodowego, o wpływaniu na konduktę młodszych kolegów przez odrywanie ich od hulanki oraz awantur, a nareszcie o kultywowaniu dobrze pojętej społeczności. Szczegółowo opowiedziałem, jak to stosowaliśmy osobny ceremoniał przyjmowania do organizacji, nosiliśmy na zebraniach szarfy niebiesko-czerwono-białe i pierścionki z ini-



cjałami „WOZP”, co znaczy: Wolność, Ojczyzna, Związek Polski, jak zbieraliśmy się każdego dnia w jakiejś coraz to innej gospodzie, uczyliśmy się, wiedliśmy dyskursy, jak rozprawialiśmy o Ignacym Potockim, o Hugonie Kołłątaju, o Tadeuszu Kościuszcze, studiowaliśmy dzieje ojczyste, uczyliśmy się polskiego myślenia. Powiedziałem hrabiemu, że byłem nawet przez jedną kadencję przewodniczącym „Polonii”, że później nawiązaliśmy współdziałanie z Warszawskim Towarzystwem Patriotycznym. Opowiadałem szeroko o naukach i zajęciach konspiracyjnych polskiej młodzieży.

Nie powtarzam tu szczegółów w liście do Ciebie, Droga Emilio, bo doprawdy znasz te sprawy, nasłuchałaś się o nich zarówno od swych braci, jak ode mnie.

Przeszedłem na koniec do tego, w jaki sposób nastąpił wpadunek nasz.

„Policja pruska poczęła węszyć, nazbyt interesować się naszym życiem” – mówiłem. „Spaliliśmy przeto akta i od tych pór skutecznie wszystko ustnie. I co pan powiesz, panie hrabio? Akuratnie w grudniu 1821 roku uzyskałem absolutorium, złożyłem rygorozę doktorską i czekałem na promocję, przygotowując się do państwowego egzaminu praktycznego. I wtedy przyszło najgorsze. W pełni zimy 1822 roku zostaliśmy zaskoczeni aresztowaniem niektórych członków. Naradziliśmy się, podjęliśmy decyzje dotyczące się środków ostrożności. Cóż, kiedy nocą z piętnastego na szesnastego marca, tak, pamiętam dokładnie tę datę, aresztowano i mnie, i osadzono w berlińskiej Stadtvogtei. Nie przyznawałem się z początku do niczego. Aliści wreszcie opisał Prusakom całe dzieje i zadania związku, wypierając się jeno tajnych narad. Powiedziałem, iżesmy zgodnie z obowiązującym prawem pielęgowali w sobie poczucie narodowe i nic więcej. Że przez zagwarantowane przyrzeczeniem króla pruskiego zachowanie narodowości rozumiemy, by każdy Polak mógł kształcić się, nie zatracając charakteru narodowego, by narodowość nasza nie zginęła. Uważamy się za Polaków bez względu na to, skąd kto pochodzi, z Księstwa czy z Królestwa, bo my tu w Księstwie mamy wspólny język i wspólny obyczaj, nie różniące się niczym od języka i obyczajów Polaków zamieszkałych w Królestwie Polskim”.

Mój słuchacz uśmiechnął się jeno, nim rzekł: „Jako żywo ostroś pan to, doktorze, powiedział. Chciano wam z tego zrobić proces o zdradę stanu, o ile dobrze wiem?”

Przyznałem się, że nastąpiły nawet dalsze aresztowania. Szczęściem nie skończyła się ta sprawa najgorzej, bo większość z nas dostała po trzy miesiące twierdzy, niektórzy po sześć tygodni, jeno ja z Koszutkim po sześć miesięcy każdy.

Widziałem, że hrabi podobało się to, com mówił. Oblicze jego rozpoznało się. Ciągnął mnie też za język, przypominając, że były jakoweś nieporozumienia, kiedyśmy mieli wyjechać na odsiedzenie kary. Przeto wyjaśniłem, że jeszcze rychlej ubiegałem się o urlop na odbycie promocji i egzaminu rządowego. Atoli władze odmówiły mi. Tym sposobem dopiero w kwietniu następnego roku obroniłem publicznie rozprawę *De fontibus indicationum generatim*.

„A jak to było z owym wyjazdem do twierdzy?” – zapytał hrabia.

Opowiedziałem mu, jak to członkowie „Polonii” odmówili wsiadania do zwykłych bryk pocztowych. Wyjaśniłem, że byli to przeważnie ziemianie, przeto żądali dla siebie krytych powozów. Ustąpili na koniec, atoli ja uparłem się, oświadczając, iże raczej pieszo pójdę. Odjechałem przeto do Wisłoujścia dopiero po czterech dniach, ordynaryjną pocztą. „Odsiedziałem swoje za Polskę” – oświadczyłem. „I jestem z tego dumny”.

W rodzącym się świetle dnia widziałem dumne oblicze tego starego człowieka, który mnie uważnie słuchał. Starego? Jako żywo, był starszy ode mnie, aliści miał jeno trzydzieści dziewięć lat, gdy ja dwadzieścia pięć. Atoli w moim wieku on wspominał już całą długą wojnę. A ja? To jeno, żem zabawiał się w zebrania i droczył z policjantami o taki czy inny pojazd? Bo czegom właściwie dokonał? Com zbudował swymi społecznymi zatrudnieniami? Jakie trwałe wartości moralne czy materialne? Co pozostało z prowadzonych w stowarzyszeniu dyskursów?

On tak zapewne myślał, gdym ja opowiadał. Bo mógł wiedzieć choćby to, iż zapął niektórych młodzieńców zgaść jeszcze przed aresztowaniem, kiedy zwąchali policję w pobliżu. A te późniejsze sprawy z transportem do twierdzy – to była ordynaryjna przekora młodzieńcza, pokazywanie swego „ja” niekoniecznie tam, gdzie trzeba, paniczykowska fanaberia. Paniczykowska, lubo niejedyn z nas nawet paniczykiem nie był.

Hrabia odwrócił się do ściany. Czyżby nie chciał patrzeć mi

w oczy, abym nie wyczytał tych myśli? Bo przecie na pewno mną gardził.

Nie mogąc jednakowoż całkowicie pojąć odruchu mego pacjenta, zapytałem, czy go co zabolęło.

Hrabia nic nie odrzekł. Leżąc nadal odwrócony ku ścianie zaczął mówić jakimś miękkim, odmienionym głosem:

„Przypomniał mi się raptem, ni stąd, ni zowąd, lubo pewnikiem nie bez kozery, Marceli Lubomirski. Byliśmy razem w bitewnej potrzebie pod Sandomierzem, w roku 1809, i tam Marceli wyzionął ducha na polu chwały. Padł tuż obok mnie mój brat cioteczny, wierny przyjaciel. Cóżem miał czynić? Jakżeż miałem dalej żyć? Niestety, w życiu wszystko jakoś przechodzi, umierają w nas nawet cudze śmierci. Kiedym jednakże w roku 1820 wznosił w Rogalinie kaplicę, kazałem na jej frontonie wyryć napis: *«Divo Marcellino»*”.

Raptem odwrócił się ku mnie. Na jego twarzy malował się gniew. Mówił teraz energicznie, twardo:

„Pan jesteś dumny, doktorze. Jako żywo, nader dumny. A czy pan wiesz, jakeśmy my ginęli w roku szóstym, ósmym, dziewiątym, dziesiątym?”

Przyznałem pokornie, że wiem, że słyszałem, czytałem.

„Azali wyście się jeno nie bawili?” – krzyknął wtedy.

„Waść tuszysz, panie hrabio, że nas Prusacy więzili za zabawę?” – odrzekłem.

„Nie tuszę tak, atoli myślę, że jest to zabawą, kiepską zabawą, kiedy młodzi ludzie spiskują dla samego spiskowania, miasto pracować dla pożytku ojczyzny” – odpowiedział mi Raczyński.

„Więc waść niczego nie pojmujesz, panie hrabio?” – zapytałem ostro, zdając sobie sprawę ze swej bezczelności.

Edward Raczyński uniósł się gwałtownie na pościeli. Siedział przez moment, wsparty o poduszkę. Ja przez ten czas wstałem z krzesła i nie mówiłem nic, nawet nie próbowałem położyć go z powrotem – czy to argumentem, czy to gestem, czy siłą.

„Nie wolno narażać życia, nie wolno igrać z ogniem, a tym bardziej wzniecać go, kiedy nie ma żadnej szansy” – powiedział z mocą.

„Szansy?” – wysyczałem i czekałem przez moment. „Tam gdzie rozchodzi się o wolność, tam trzeba wszystko rzucić na szalę. Proszę dziś, panie hrabio, spojrzeć na Kościuszków,

na Dąbrowskich, Poniatowskich, jakie oni mieli szanse? Im mniejsze, tym wyżej stawiamy ich bohaterstwo. Jenó tchórze myślą inaczej!”

Jego ramię skoczyło w górę, sięgało ust moich, które wyrzekły te słowa. Nie mogło ich dosięgnąć. Mimo to uskokczyłem przed ciosem. Stałem wściekły, z marszem na czole i gwałtownie rozważałem w sobie to, co się stało.

On cały dyszał i drżał. Na koniec krzyknął: „Precz!!!”

Tak było, Emilio Droga, doprawdy nie skrywam tego. Wiesz zresztą, że rogaliński dziedzic zawsze był gwałtownikiem i sam za dużo dumy w sobie nosząc, tym mocniej nie znosił jej w inszych ludziach. Aliści tą razą miał rację.

Usłyszawszy te słowa, zoczywszy niełaskawy gest swego pacjenta, odwróciłem się ruchem jakoby wojskowym, przemaszerowałem parę kroków, otwarłem drzwi i z hukiem zatrzaskałem je za sobą. Biegiem niemal schodziłem na dół. Wypadłem w poranny chłód wyspy, przez którą przeciągał zimny wiatr od jeziora. Chciało mi się bić kogoś z wściekłości, nie tąję tego przed Tobą, Najdroższa Moja Emilio, chciało się krzyczeć. Och, bo prawda była jednakże inna! To on się bawił, bawił w podróże, w bitwy morskie, w kolekcjonowanie broni. Bo miał zbytek pieniędzy, ten dumny pan! Ze zbytku bogactwa zachorzał oto, a jam poświęcał mu swoją wiedzę i swój czas, na który czekali insi chorzy, moi poznańscy biedacy, nie mający pieniędzy na leczenie. I on mnie obraził! I byłby uderzył, gdybym stał bliżej!

Ziąb otrzeźwił mnie szybko. Stałem pod jednym z dębów drząc z przenikającego mnie chłodu, a może z gniewu? Nie mogłem ruszyć się z miejsca. Stałem jako sparaliżowany. I jeno nurtowały mnie dalej myśli.

Po cóż bo było to wszystko potrzebne? Czy lekarz pozostawia pacjenta bez opieki? Aliści co mam czynić, kiedym został obrażony przez niego, kiedy szarpnął najczulszą strunę mego serca? Atoli pojmo wałem, iżesmy poróżnili się o Polskę, o sposoby służenia jej. Jako żywo, wszystko toczy się teraz wokół tego jednego: wokół ojczyzny. I tak już pewnikiem pozostanie na całe życie naszego pokolenia. O nią spory – daj Boże – wokół niej przyjaźnie i nieprzyjaźnie, o nią boje, dla niej wszystko. Polska i Polska. Polska i Polska.

Ruszyłem przedsię, żeby się rozgrzać. Zamiarowałem pójść do pomostu, by przejść nim na ląd, zostawić za sobą tę prze-

kłątą wyspę Edwarda, jak ją zaczynano nazywać. Aliści zabrnąłem jeno nad jezioro, może z całkiem inszej strony, bom pomostu nie dostrzegł i wokół widziałem jeno wodę.

Pomyślałem znów: „Polska”. Wyszepiałem: „Polska”. Polska i Polska. Jako żywo, każdy z nas nosi w sercu swym swoją ojczyznę, doprawdy, każdy inszą. Azaliż o to należy skakać sobie do oczu? Jest mnóstwo kwiatów, a nie ma ładnych i brzydkich, jeno jednym podobają się te, a drugim insze. Są przeto rozmaite kwiaty, a wszystkie piękne. Każdy wybiera sobie swoje.

Polska i Polska.

Tam, na brzegu jeziora znalazła mnie Konstancja Raczyńska. Przybiegła, odziana szczelnie w długą do stóp szubę. Drugą szubę, dla mnie, przyniósł sługa. Tęga, silna kobieta wzięła ją od niego i zarzuciła mi na ramiona, otuliła nią i zaczęła zawiązywać pętelki. Na koniec ujęła mnie pod ramię i poprowadziła w stronę drewnianego domu.

Wszedłem do niego bez wahania. Pomyślałem, że lekarzowi nie wolno opuszczać pacjenta, nie pozostawiwszy zaleceń na dalsze leczenie. Pacjentowi zaś wolno wszystko. Raczyński krzyknął na mnie nie jako hrabia, jeno jako pacjent. Będąc chorym, ma prawo do fochów i niestateczności w obcowaniu. A lekarz musi być cierpliwy...

Konstancja Raczyńska posadziła mnie pierwej na dole, w zbrojowni, sama zajęła miejsce naprzeciwko i przekonywała, że małżonek jej bywa porywczy, a w chorobie może mu się zdarzyć wszystko. Namawiała mnie przeto do pozostania na wyspie, do ratowania hrabiego. Jam był jednakowoż zdecydowany wyjechać, uważając, że stan zdrowia jego jest dosyć dobry. Oświadczyłem, że tuszę, iż poprawiło się hrabi na tyle, bym mógł się czuć tu zbędny. Pozostawiłem hrabinie wszelkie wskazówki, jak ma pielęgnować chorego i obiecałem, że pojutrze przyjadę znowu.

Pani Konstancja powstrzymywała mnie jednakowoż i spoglądała na mnie z niecierpliwością jakowąś. Postanowiłem powtórzyć jej to, com pomyślał pierwej, stojąc nad wodą:

„Każdy z nas ma swoją własną Polskę – powiedziałem – każdy po swojemu jej służy. Jako żywo, nie należy z tego powodu skakać sobie do oczu”.

Był jakowyś błysk w jej wejrzeniu, gdy wyrzekła: „To prawda”.

Powiedziałem jeszcze, że raduję się, iżem poznał tak męznego i mądrego człowieka jak hrabia.

I tak – rzecz można – zakończyło się owo moje spotkanie z Edwardem Raczyńskim, Droga Emilio. Winienem jednakowoż przedstawić Ci króciutko drugie moje z nim spotkanie, będące zakończeniem tego, którym Ci wyżej opisałem.

Otóż trzeciego dnia znowu stanęły przed moim domem konie hrabiostwa i jeszcze raz pojechałem na zaniemyśską wyspę. Kiedym stanął nad pacjentem, który już siedział w fotelu, lubo nie całkiem jeszcze zdrowy – na moje powitanie odpowiedział bąknięciem niewyraźnym i spuszczeniem oczu. Dopiero pogładziwszy dłonią czuprynę, spojrzął w okno i zapytał, jakoby pytał kogoś innego, a nie mnie:

„Azali waść żadasz, doktorze, żebym się przed nim ukorzył?”

Popatrzyłem mu prosto w oczy i odparłem, że przyjechałem go jeszcze raz zbadać, a może i wydać medyczne zalecenia, że przeto nie oczekuję niczego krom relacji, jak się czuje i czy mu jeszcze coś dolega.

„A tamta sprawa przed odjazdem pana?” – spytał, skierowawszy wreszcie wzrok na mnie.

„Jako żywo, nie było żadnej sprawy przed moim stąd odjazdem” – oświadczyłem tonem zdecydowanym. „Ja w żadnym razie niczego sobie przypomnieć nie mogę”.

Jeszcze raz spuścił głowę. Dopiero po jakimś momencie powiedział głosem cichym, zgaszonym:

„Jesteś pan dobrym Polakiem, doktorze Marcinkowski. Moja małżonka zdała mi sprawę z rozmowy z panem. A zresztą poznałem się i ja na panu już przedtem. No więc proszę mnie badać. Czy mam zdjąć surdut i bieliznę? Informuję, że jeszcze trochę kaszlę. I właściwie nic więcej”.

Azali mam Ci jeszcze, Emilio, doprawdy, opowiadać coś więcej? Nie sądzę.

Wspomnę jednakowoż drobne zdarzenie, które miało miejsce w mojej powrotnej podróży z owej drugiej wizyty w Zaniemyślu. Otóż przejeżdżając przez Kórnik wysiadłem w okolicy tego miasteczka na drodze, zatrzymawszy konie, by rozprostować kości. W pewnym momencie rozbłysło jaśniej słońce i spojrzawszy w dół ujrzałem pod nogami coś lśniącego. Schyliłem się w zaciekawieniu i oto w palcach mej ręki znalazł się złoty pierścień damski, misternie rzeźbiony, oznaczony literami MR. Boże – pomyślałem – toż to ja mam siostrę Ro-

zalię! MR to Marcinkowska Rozalia, dlaczego jednak nie odwrotnie, jak zwykło się mówić?

Atoli zaraz uświadomiłem sobie, że moja siostra, córka właściciela traktierni, nie mogła mieć tak wspaniałego złotego pierścionka. Uznałem to jednakowoż za dobry omen i schowałem pierścień do kieszeni. Gdybyż jeszcze mógł pochodzić z palca jakiejś kórnickiej pani! Aliści wyraźnie wyryte litery MR nic nie mają wspólnego z Działyńskimi...

Pokażę Ci to znalezisko, Emilio, gdy się kiedy spotkamy, co oby Bóg jak najrychlej dał. Może pomożesz mi rozwiązać tajemnicę owych dwóch liter? Ogromnie ciekaw jestem, po kim noszę w kieszeni swego surduta ów skarb...

Tymczasem kończę swoje pisanie, rad, że opis mych nie najmiłszych wizyt w Zaniemyślu pogodnym mogłem zakończyć akcentem.

Jestem, jako wiesz, Emilio Najdroższa, bez ustanku zapracowany przy moich pacjentach i doprawdy zajęty rozlicznymi innymi zatrudnieniami, jakie w tych ciężkich czasach przystoją Polakowi. A Ty napisz mi, cóż porabiasz? Czy dopisuje Ci zdrowie? Kiedy przybędziesz do Poznania? A nie zapomnisz przy tej okazji postarać się o to, bym Cię zobaczył? Pragnę tego niezmiernie.

Kłaniam Ci się nisko, całuję Twoje dobre ręce, posyłam Ci pozdrowienia i życzenia błogosławieństwa Bożego.

Karol

**Fragment pamiętnika dotyczący się podróży do Pakosławia, odbytej w sobotę, dnia 9 maja 1835 roku**

Och, jakaż rozkosz siedzieć znowuż na koniu i w majowy dzień pędzić przez pola i lasy! Mój Boże, ileż lat tęskniłem za taką jazdą! Rodziła się tęsknota owa tam, na szkockiej ziemi, kiedym po powstaniu osiedlił się na parę miesięcy w Montrose i intensywnie pobierał naukę języka angielskiego. Doprawdy, spędzałem wówczas każdego dnia dwie godziny w kawiarni na czytaniu gazet, jednaście godzin na nauce, a sześć, w czas posiłków, używałem na konwersację.

Tak mało ruchu mając utylęm straszliwie i marzyłem o moich dawnych galopadach konnych. Czyżem przed powstaniem nie obgalopował wszystkich dworów z moją medyczną torbą? A ileż razy przebyłem tę drogę z Poznania do Pakosławia, po której dziś znowu niesie mnie mój koń?

Soczysta zieleń pastwisk raduje oczy. Łąki płoną kwieciami, szaleją ptaki w nieustannym chórze. O ileż miłsza ta podróż – podróż na powitanie – od tamtej pożegnalnej, przed czterema przeszło laty odbytej w grudniową noc! Owemu pożegnaniu przygrywał w kikutach drzew zimowy wiatr prószący w policzki i w oczy twardym, szorstkim śniegiem. Dzisiejsze zaś powitanie maj zdoła barwami kwiecia, śpiewem ptactwa i wielością woni.

Atoli owoczesne pożegnanie było szczęsnym pożegnaniem. Rozstaliśmy się z Emilią, aliści każde z nas – pełne zapału – szło do powstańczego czynu. Łączył nas ogień patriotyzmu i nadziei na wyzwolenie ojczyzny naszej.

Jakżeż to było wówczas?

Kiedy już psy zmęczyły się szczekaniem, a poznawszy mnie, otoczyły ze skomleniem, kiedy już stróż nocny pod kamiennymi stopniami dworku odebrał konia mego, całego w pianie – Emilia pojawiła się była w otwartych drzwiach blada, drżąca i wyszeptła: „Co się stało?” A jam wszedł był do ciepłej sieni i rzucił się do jej rąk. „Spieszę do powstania, przybyłem pożegnać się, o błogostawieństwo upraszać. Czyżem mógł odjechać bez pożegnania? Doprawdy, mogę nie wrócić z wojny, bo czyliż to zabawa?” Momentalnie opanowana, już mnie prowadziła do pieca, już dzwoniła na służbę, już polecała przygotować gorącą nalewkę.

Niewiele czasu spędziliśmy byli wówczas społem. Azali była kiedykolwiek miłość tak wielka, chociaż jeno duchowa, dopuszczająca co najwyżej całowanie rąk Emilii? Doprawdy, przysięga dozgonnej przyjaźni wracała na usta, lubo wracała wstydliwie, półsłówkami, niedomówieniami. Czyżemy pełnym głosem nie mówili jeno o inszej naszej miłości – o miłości ojczyzny?

Już następnej nocy przekradałem się przez pilnie strzeżoną granicę między Wielkim Księstwem Poznańskim a Królestwem, w okolicy Słupcy. Dopiero na trakcie łowickim spotkałem Antoniego Krzyżanowskiego i Klaudynę Potocką, zdążających także do Warszawy. A tam już zastałem i młodzież poznańskiego gimnazjum i inszych ludzi: księdza Logę,



Tytusa Działyńskiego, Ludwika Szanieckiego, Gustawa Potworowskiego, Andrzeja Niegolewskiego.

I doprawdy, dziś dopiero jadę znów do Pakostawia? Po przeszło czterech latach? Po pięciu niemal?

Przywiozłem z sobą po tym długim czasie moc doświadczeń z pól walki i z obozów. Przywiozłem znajomość dalekich krajów: Litwy, Kłajpedy, Anglii, Francji. Przywiozłem nową wiedzę medyczną Zachodu. Przyszła jednak za mną – jak to bywa w świecie – i gorycz kłęski. Azaliż o takich marzyliśmy walkach, jakie stały się moim udziałem? Nie do kłesk przecie błogostawiła mnie Emilia, jeno do zwycięstw. Atoli i ona – jeszcze boleśniej może – przeżyła owo wszystko zło. Doprawdy, bowiem sama także – kiedym ja w polu już był – pobieżała do Warszawy i rzuciła się w wir powstańczych działań. Każdego dnia oglądała na własne oczy to, co z kłesk najstraszliwsze: ludzkie strzępy, pokaleczone, schorowane, cierpiące fizycznie i moralnie. Im poświęcała swe dni i noce. Przeżyła – nie daj Boże – cholereę. A po upadku powstania padła ofiarą pruskich szykan.

Cóż porabia teraz tam, w Pakostawiu? Jak żyje? Azali pamięta mnie?

Dzieliła mnie oto od niej może już mila jeno, może dwie niecałe, bom dawno już minął Buk, a i Trzciankę miałem poza sobą, gdym snuł te myśli, kiedy popołudniowe niebo poczęło powlekać się od zachodu ciemnymi chmurami, a świecące cięgiem jeszcze słońce jęło palić i wyciskać pot. Doprawdy, koń pode mną cały był mokry, miejscami szerść jego pokryła się pianą.

Azali zanosi się na pierwszą burzę majową? – myślałem. Winienem tedy spieszyć się, by przed deszczem – daj Boże – zdążyć do dworu swej ukochanej, ujrzeć ją, społem z nią przeżyć radość powitania”.

Już od października poprzedniego roku wracałem był z obczyzny do domowych pieleszy przez Kolonię, Akwizgran, Magdeburg, Berlin. Tam aresztowała mnie pruska policja i przetrzymała aż do pierwszych dni marca. Dopiero na końcu tegoż miesiąca znalazłem się w Poznaniu. Zasię przesłuchania policyjne, starania o dokumentację dla obrony przed sądem, a przede wszystkim praca. Przed rozprawą sądową, która mnie dopiero czekała, nie wolno mi było wydaleć się z miasta.

Aliści pędziłem oto nareszcie do Emilii, nielegalnie, przez majowy skwar, strudzony coraz szybszym kłusem konia. Cóż

porabia ona – myślałem. – Nie spodziewa się mnie przecie. Boże daj, bym zastał ją w domu... A może przeczuwa moje zbliżanie się? Bywało tak niejednym razem. Azali siedzi na ganku swego dworku i wsłuchuje się w śpiew ptaków? Może otula się szalem, bo burza pewnikiem tam już bliższa, a słońce akurat zachodzi za chmury i po upale wiatr niesie raptowne ochłodzenie? Może patrzy na poruszające się od wiatru drzewa pakosławskiego parku, na malownicze fantastyczne kształty trawników i klombów? Może wspomina ową tak dawną noc grudniową, kiedyśmy się zegnali? Może owe dwa, trzy spotkania w Warszawie, kiedyś z obozu przybywał jako kurier i znajdował krótkie momenty wytchnienia?”

Burza spadła raptownie i lubom się jej spodziewał – zaskoczyła mnie. Gwałtowny poryw wiatru pchnął konia z drogi na pole i dał już teraz na dobre, zatykając dech. Poczęły spadać duże, ciężkie, jeszcze rzadkie krople deszczu, zaś niebo rozdarła błyskawica. Potem grzmot, zasię deszcz gęściejący, na koniec ulewa.

Pakosławski park był już widoczny na horyzoncie. Nie mogłem teraz przerwać podróży, bo i gdzie miałbym się skryć, kiedy dopiero fołwarczne zabudowania mogły mi dać schronienie? Bodłem konia ostrogami i gwałtownym słowem zachęcałem go do galopu. Szczęściem ulewa nie siekła mi twarzy, jeno biła w lewy mój bok. Pozwalało to i koniowi pędzić naprzód – ba, nawet sam z siebie przyśpieszał, jakoby uciec pragnąc przed żywiołem. Gorzej, iżem już po minucie czuł wodę w odzieży. Przemokła doszczętnie i lało się ze mnie, doprawdy, strugami.

Osiągnąłem koniec końców bramę, wpadłem w aleję grabową. Przed dworem nie było żywej duszy. Musiałem jeszcze sam przywiązać konia, zasię w ulewie czekać pod drzwiami. Kiedy mi służba nareszcie otwarła, a jam w świetle błyskawicy wpadł do sieni – znalazłem się rychło w kałuży ociekającej ze mnie wody.

Emilia stanęła w drzwiach bawialni niczym kolejna błyskawica. Posypały się z jej ust rozkazy. Azaliż był czas na powitanie? Prędko znalazł się w łaźni, gdzie rozebrał się, umył i przydział w jakowyś podany mi garnitur, nie zastanawiając się nad tym, czyj on jest. U tej konspiratorki były zawsze zapasowe ubiory, zbyt wielu tu przechowywała uciekinierów.

Po jakowymś dopiero czasie stanąłem gruntownie odświeżony w jadalni, oświetlonej uroczyście świecami. Na stole cze-

kała wieczera, dymiła herbata. Powitanie przecie nastąpiło, zanim siadłem. Emilia podała mi obie ręce. Ucałowałem i uściskałem je mocniej niżeli kiedykolwiek. Przez moment staliśmy potem naprzeciw siebie, nie puszczając rąk. Na bladej twarzy mej ukochanej malowało się szczęście. Zdawało mi się, iż zaraz padnie mi w ramiona, atoli panowała nad sobą pomimo wielkiego wzruszenia.

I tak zakończyłoby się nasze powitanie, gdyby nie nagły grom, który uderzyć musiał nader blisko. W jednej sekundzie Emilia opadła głową na moją pierś i wyrwawszy mi z dłoni swe ręce, zacisnęła je kurczowo na moich barkach. Przytuliłem ją do siebie i złożyłem czuły pocałunek na jej włosach. Wtedy odsunęła się ode mnie delikatnym ruchem i wskazała na stół. Na jej oblicze powrócił spokój, lubo nie pierzchła z niego radość.

Burza uciszyła się. Deszcz jeno padał monotannie i błyskawice jaśniały w coraz większym oddaleniu. Siedzieliśmy naprzeciw siebie. Spożywałem wieczernę, ona nie jadła, towarzyszyła mi, pijąc jeno herbatę.

„Jesteśmy po kolacji” – powiedziała. „Przyjechała do mnie moja imienniczka, znasz ją przecie, Emilka Stablewska. Może nie wiesz jeszcze, że Emilka Kurowska wyszła za mąż za Onufrego Stablewskiego? Bawi tu przejazdem i jutro rano wyrusza w dalszą drogę. Wiesz, cośmy czytały w owym momencie przed burzą?”

Sięgnęła po leżącą na stole książkę, otworzyła ją, podała mi. Spojrzałem na otwarte stronicie i przeczytałem tytuł – *Farys*. Uśmiechnąłem się jeno, zrozumieliśmy się dobrze. Doprawdy, tak mnie nazywano z powodu moich licznych wypraw konnych.

„Jak widzisz, myślałam o tobie” – mówiła Emilia. „A ty dokładnie tak jako Farys przybyłeś, szalony, w tę wichurę i burzę, nie zważając na przeszkody. Zawsze ten sam, zawsze...”

„Nie jestem pewien, czy ten sam” – zażartowałem. „Obaczysz jeszcze, kiedy porozmawiamy. Doprawdy, jeżeli przy gościu, Boże daj, będzie można swobodnie porozmawiać”.

„Och tak – uspokoiła mnie – ona poszła położyć się. Okropnie boi się burzy i kiedy jeno zagrzmia pierwsze gromy, kładzie się do łóżka i zakrywa głowę pierzyną”.

„Azali po burzy nie wstanie?” – spytałem, wracając do przerwanego jedzenia, albowiem głód mi doprawdy niezłe dokuczał.

„Raczej już będzie spała” – odparła Emilia. „Powiedziałam jej, kiedyś się przebierał, że przyjechał do mnie doktor. Nawet nie spytała, który. A nawet jeżeliby... Jest bardzo interesującą osobką. Czytałyśmy przed wieczorem jej pamiętnik, co go spisuje, a zawsze go zabiera z sobą w podróże. Stałyśmy akurat na opisie wizyty Adama Mickiewicza w Krzyżanowie pod Śremem. Ona była tam wówczas, kiedy wieszcz przejeżdżał przez Krzyżanowo w podróży do Choryni, gdzie podawał do chrztu córeczkę państwa Taczanowskich”.

„Och, czas powstania” – westchnąłem. „Boże mój, myśmy walczyli, a on...”

„Nie bądź taki” – przerwała mi. „Wiesz co? Przyniosę ów pamiętnik. Może dowiesz się czegoś nowego o Mickiewiczu? Bo ja bardzo bym pragnęła ów fragment ci przeczytać”.

„Azali wypada?...” – zawahałem się.

„Wypada?” – powtórzyła pytająco. „Nie ma w tym zeszycie żadnych wstydliwych sekretów” – powiedziała po momencie namysłu.

Kiedy wyszła w poszukiwaniu pamiętnika, kończyłem wieczór. Wróciła po paru minutach z dużym, grubym zeszytem w rękę, zdenerwowana, trzęsąca się. Pośpieszała za nią dziewczyna służebna, na której twarzy malowała się zgroza.

„Karolu” – usłyszałem rozpaczliwy szept. „Oni ciebie szukają”.

„Kto?” – spytałem zaniepokojony.

„Idź natychmiast za Stasią” – nakazała Emilia. „Policjanci z Buku dopytują o ciebie. Muszę natychmiast wyjść do nich”.

Nie było ani kiedy, ani o czym dyskutować. Mimowolnie – doprawdy sam nie wiem, czemu – wyjąłem z jej trzęsących się rąk pamiętnik, którego sam przecie nie zamierowałem czytać. Możem ujął go w swe dłonie, żeby nie wypadł? Czemużem jednak pobiegł z nim za służebną?

Wiodła mnie przez ciemne komnaty, zasię weszliśmy w jakoweś zakamarki. Nagle usłyszałem strzęp rozmowy:

„*Verzeihung, Sie sind doch gnädige Frau Sczaniecki?*”\*

I nic więcej.

Jeszcze korytarzyk i jeszcze komnata, a w niej służebna otworzyła szafę, uśmiechając się do mnie jakoś dziwnie. Szafa było ogromna, a w jej wnętrzu znajdowały się jeszcze jedne drzwi, zamaskowane odzieżą. Otworzyła je i to przez nie prze-

\* Przepraszam, czy rozmawiam z szanowną panią Sczaniecką?

szliśmy poza mebel, tym sposobem dostawszy się do izdebki, w której płonął czerwony płomyk oliwny.

Dziewczyna niemym gestem wskazała mi fotel i stolik. Miała nie dopięte guziki fartucha, spod którego przezierало gołe ciało. Sięgnąłem ręką do lichtarza stojącego na stoliku i zapytałem, azali mogę zaświecić.

Służebna zapewniwszy mnie, że mogę, zniknęła za tymi samymi drzwiami, wiodącymi do szafy, którymi przyszlismy.

Po małym momencie jednakowoż wróciła. Czekałem, co mi jeszcze powie, ale jedynie odchyliła poły fartucha odsłaniając białe piersi i uśmiechnęła się. I jakby nigdy nic – znowu wyszła. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czyżby to zachowanie dziewczyny coś znaczyć miało? Boże mój, może ona jest w zмовie z żandarmami? – pomyślałem. – Doprawdy, wolałbym zażyć już nieco spokoju... Zostać raz jeszcze aresztowanym?... A może ona ordynaryjnie...

Nie doprowadziłem tego domysłu do końca.

Położyłem zeszyt na stoliku, wziąłem lichtarz do ręki, wstałem z krzesła, podszedłem do ściany i do wiszącej na niej lampki oliwnej przytknąłem knot świecy. Dopiero wtedy mogłem lepiej rozejrzeć się po izdebce.

Była doprawdy maleńka, z gołymi ścianami, bez żadnego okna. Jeno za grubą zasłoną znajdowały się owe drzwi, zapewniające kontakt ze światem. Och, wszystko zgadzało się co do joty, bo przecież wiedział, że ta pakosławska konspiratorka uratowała wiele osób, bez ustanku kogoś wspomagała, ukrywała, leczyła, ratowała przed Prusakami. Ani chybi urządziła ów schowek w czas powstania.

Rozsiadłem się w fotelu. Poczułem dreszcz chłodu i niepokój. Atoli po chwili przestało niepokoić mnie przybycie policjantów. Mogłem ich się nawet spodziewać, bom wiedział, że jestem śledzony. Miałem i tak szczęście, że udało mi się wymknąć z Poznania. Przeto kiedy spostrzegli się na policji, że nie ma mnie nigdzie w mieście – poczęli szukać. Jakimże sposobem wpadli na to, że mój pojechał do Pakosławia?

Koniec końców – uśmiechnąłem się w myśli sam do siebie – azaliż wszyscy w Poznaniu nie wiedzą o moich powiązaniach z Emilią Szczaniecką?... Trop mógł prowadzić po prawdzie i do innych przyjaciół moich: do Macieja Mielżyńskiego czy do Wiktora Łakomickiego. Może szukają mnie i tam?

Do mego schowka nie dochodziły żadne odgłosy. Jeno w momencie jakowymś zwrócił mą uwagę stukot kroków nade

mną – nad posową. Przypomniała mi się służebna z tajemniczym uśmiechem. Wyglądała tak, jak gdyby zamierowała za moment rozebrać się przede mną i położyć.

Sięgnąłem po leżący na stole pamiętnik. Jeszcze raz zadumałem się nad tym, azali wolno mi go czytać. Jeżeli jednakowoż Emilia nie miała co do tego wątpliwości... Znała przecie już jego treść...

Przewertowałem zeszyt – pismo było wyraźne. Na wszelki wypadek nie zamierzałem wnikać w insze fragmenty tekstu, przeto szukał tylko tego mówiącego o spotkaniu autorki z Mickiewiczem, o którym wspomniała Emilia. Wiedziałem, że wydarzenie musiało mieć miejsce mniej więcej w okresie upadku powstania, w 1831 roku.

Znalazłem i począłem czytać.

Mogę przypomnieć tutaj ten urywek pamiętnika, bo mi Emilia po dniach paru przysłała jego odpis. Odpisy pamiętników kursują w naszych czasach na równi z odpisami poezji.

Jutro przybywa do Krzyżanowa Mickiewicz!... Ażeby uczcić wieszca, państwo Wilczyńscy dadzą tam wieczorek. Niezmiernie byłam ucieszona, gdy mi więc stryjostwo oznajmili, że i my tam będziemy. Jutro więc mam zobaczyć Ciebie, Adamie! Zobaczyć tego geniusza, przy którego sławie ogrzeje się niezawodnie wiek nasz...

Słyszę, że ogromne robią przygotowania w Krzyżanowie. Ustawiają bramy triumfalne, ścielą różami ścieżki, kędy Adam będzie przechodził. Mój Boże, kwiaty ścielą ci ludzie, a czy nie dosyć cierni rośnie na ścieżkach twoich, o wieszczu!?

### *Dzień później*

Była godzina piąta z wieczora, kiedy stanęliśmy w Krzyżanowie. Po wzajemnych powitaniach udałam się z ciotką do salonu, gdzie zastałyśmy już kilka znajomych pań. Panowie zostali w pobliżu wejścia; chcąc wspólnie powitać Mickiewicza, który miał nadjechać z hrabiami Mycielskimi. Gospodyni domu podała nam świeżo wyszłą z druku poezję uwielbianego wieszca, którą napisał, wracając z Włoch do naszego Księstwa. Był to wiersz *Do matki Polki*. Proszono mnie, abym go odczytała. Serce biło mi gwałtownie, ale wezwawszy na pomoc całą siłę mej woli – przeczytałam. Rozrzewnienie było wielkie. Ciekawość poznania autora powiększyła się.

Po szóstej godzinie zawiadomiono przybycie hrabiów Mycielskich w towarzystwie Mickiewicza. Grono nasze było już dość liczne, wyszliśmy na powitanie. Powóz zajechał przed pałac...

Był średniego wzrostu, wysmukłej postawy, cerę miał trochę bladą, odbijającą tym bardziej przy czarnym wąsie i takich kędziorach. Rysy miał regularne, wydatne, czoło wysokie, piękne, zdawało się, że to siedlisko owej gwiazdy, przewodniczyć mającej młodszemu pokoleniu.

Gdy skończono powitanie, Mickiewicz podziękował panom ściśnieniem dłoni i słowy, których znaczenie na wpół tylko dosłyszeć mogliśmy – mówił coś

o niezasłużonych względach itd. Potem przedstawił go hrabia Mycielski gospodyni domu i innym sędziwym matronom: przyjmowały go zwykłymi formułkami grzeczności. Po przybyciu kilku jeszcze gości dano herbatę, w czasie której Mickiewicz rozmawiał głównie z hrabiną Platerową, później wzięto się do rozmaitych gier. Mój dobry znajomy, pan major Chełmski, zaangażował mnie do partii szachów. Przyjęłam je, choć nie tak chętnie jak zwykle. Byłam bardzo roztargnioną, bo po krótkiej walce widziałam się bliską przegrania, może wskutek tego, że w pobliżu przechodził Mickiewicz z panem Bojanowskim, zwracając jakoś uwagę na grę naszą. Nagle – widząc pewnie krytyczne moje położenie – Adam opuścił swego towarzysza, zbliżył się do mnie i rzekł: „Jeśli pani pozwoli, to będę jej pomagał”. Nie wiem, co na to odpowiedziałam, ale od tego momentu złamaliśmy zupełnie szyki przeciwnikowi.

Z początku byłam dosyć nieśmiałą, lecz w końcu widząc, że to człowiek jak każdy inny, posuwając konia z miejsca, w które go postawił był Mickiewicz, rzekłam: „Tak pewnie będzie lepiej”. On uśmiechnął się i odpowiedział: „Bardzo dobrze”. W kilka minut później przeciwnik był pokonany. Nie pragnęłam tak rychłego końca!... Może geniusz pojał uczucia mej duszy, bo Adam, siadając na miejscu zwyciężonego, rzekł: „Wszakże pani przypisujesz mi cząsteczkę zwycięstwa?” – „Cząsteczkę, panie?” – spytałam z wymówką. „Należy mu się całkowicie!” – „Nie, pani – odpowiedział – ale w istocie pragnąłbym być zwycięzcą zupełnym, więc wzywam panią do walki, czy przystajesz?”

Nie pamiętam słów, które na to wyrzekłam, wiem tylko że musiałam dać pomyślną odpowiedź, bo palce moje zaczęły mechanicznie ustawiać szachy. Mickiewicz podparł jedną ręką czoło, drugą ustawiał także. Potem graliśmy. Napoleon pewno nie więcej pragnął zwycięstwa pod Wagramem, niż ja pragnęłam go w tej chwili; wyczerpałam cały zasób rozumu, ażeby ułożyć dobry plan. Posuwaliśmy figurki w milczeniu. Ja rzucałam od czasu do czasu spojrzenie na mego przeciwnika...

Mickiewicz dumiał, zdawało się, że tylko mechanicznie posuwa figurki. Po niedługim czasie rzekłam głosem, którym ledwo przytłumić mogłam zadowolenie: „*Au roi et à la reine*”\*. Mickiewicz spojrział na mnie z zadziwieniem, potem z zapalem starał się wydobyć z matni, ale już było za późno, widział się zewsząd otoczony nieprzyjacielem. „Jestem zwyciężony” – rzekł z uśmiechem i westchnął sam do siebie: „Zawsze...”

Potem była kolacja, a gdy znów wróciliśmy do salonu, panowie prosili panią Konstancję Łubińską o zaśpiewanie jakiejś piosnki; ona też niedługo dając się prosić usiadła do fortepianu i zaczęła śpiewać znaną pieśń Mickiewicza: *Precz z moich oczu, posłucham od razu...*

W czasie tej pieśni, odśpiewanej dosyć przesadnie, ale bez uczucia, zbliżył się jeden z panów do Mickiewicza, pytając żartobliwie: „Zapewne znana panu ta pieśń?” – „Nie przypominam sobie” – odrzekł Adam zimno. Pomyślałam, że to wszystko nie było mu bardzo miłe, bo i cóż może być przykrzejszego dla wieszacza, jak słyszeć wyraz najgłębszego uczucia powtarzany przez usta objętne i zimne!

Odłożyłam zeszyt gniewnym ruchem. Szanowałam Mickiewicza, ceniłam jego dzieła, atoli nie cierpiałem modłów do niego kierowanych. A tu z tego zeszytu wzyrało na domiar złego dobitnie i to, że poeta doprawdy nosi się nazbyt dumnie.

\* Dla króla i dla królowej.

Azaliż wieszczowi nie przystoi skromność? Azaliż nie ona winna iść w parze z wielkością? Zarozumialec! Czemuż nie trafił w czas powstania do Warszawy? Ciągnęło go niby to do walki, aliści nie poszedł do końca za tym wewnętrznym głosem. A może grał jeno rolę entuzjasty powstania? Byli i tacy, tak to jest w świecie. Zaś ci, którzy walczyli, muszą ukrywać się jeszcze dziś, po paru latach, za to, że spełnili obywatelski obowiązek.

Ta sama służebna przysłała, zdawałoby się po to, by mnie uwolnić z mojego zbawczego schowka.

Jeszcze wszystko było we mnie pomieszane i gubiłem się między Mickiewiczem i Emilią Stablewską a żandarmami, między Emilią Szczaniecką a tą oto dziewczką, która ni stąd, ni zowąd stała przede mną całkiem porozzpianana.

Naoglądałem się ja jako lekarz nagości do syta i nie podniecały mnie tak łatwo niewieście wdzięki, zwłaszcza, żem przez całe życie kochał Emilię, a rozpusta była mi doprawdy obcą. Aliści lubieżny uśmiezek tej dziewczki wpatrzonej we mnie...

Tymczasem, doprawdy, stało się coś z nią. Opadła na moje kolana jakoby omdlała i zaczęła szeptać: „Ratuj mnie, panie doktorze wielmożny!...”

Nawet nie mogłem się ruszyć, bo siedziała uparcie na moich kolanach, a na dobytek była całkiem naga, spoczywając tak, że strój znajdował się pod nią.

Zerwałem się nagle ze szczególnym wysiłkiem, bom musiał wydostać się spod ciężaru jej ciała. Odepchnąłem ją tak, aże upadła na podłogę. Gdym stał przed nią – ona podnosiła się, zapinała swoje odzienie. Teraz oczy miała spuszczone, już nie wpatrywała się we mnie tym co pierwiej wzrokiem. A jam drżał cały: po trochu jeszcze z rozbudzonego acz gasnącego pożądania, po trochu z gniewu, który mnie napełniał. Usłyszałem na koniec:

„Wiem, że pan doktor nigdy nie pokłada się na naszej pani. A przecie pan doktor też chłop, jako insi”.

Nie odrzekłem na to nic. Poszliśmy zakamarkami przed siebie, opuściwszy mój schowek. Myślałem, czy powiem Emilii o wybryku jej służebnej. Nigdy nie rozmawiałem z nią o takich sprawach. Ta dziewczka miała rację: nawet nie rozmawiałem. I sam teraz począłem wątpić w to, czy słusznym jest przez tyle lat nie dotknąć nawet kochanej kobiety, nie okazać jej pożądania. Może Emilia z tego powodu źle o mnie myśli?

Emilia oczekiwała mnie w salonie. Siedziała uśmiechnięta,



absolutnie spokojna, jakby nic się nie przydarzyło. Teraz już naturalnie wiedziałem, że nawet nie wspomnę jej o przygodzie ze służebną dziewczką.

„Mam nadzieję, żeś zmęczony i pójdziesz spać?” – rzekła. „Jutro sobie porozmawiamy, bo spodziewam się, iż się przyjechał na całą niedzielę”.

„Azali doprawdy pragniesz pozbyć się mnie, kładąc do łóżka?” – spytałem na poły rozbawiony, na poły strwożony, bom pomyślał, że Emilia jest już nader senna.

„Ależ nie!” – zawołała. „Mam na myśli jedynie twoje utrudzenie!”

„Jeżeli przeto zezwolisz, wolałbym posiedzieć z tobą, bom nie po co innego przybył. A wyruszę stąd rychło, choćby o samym świcie” – powiedziałem.

„Nie!” – wykrzyknęła z rozpaczą.

„Zamierzałem pozostać przez niedzielę – ciągnąłem – pomyśl atoli, po co mają mnie szukać nazbyt długo... A prawda-li to, iż szukali istotnie mnie?”

„Szukali ciebie – potwierdziła Emilia – lubo nie mieli śmiałości pisać choćby słowa o rewizji, bo wiedzą, iż potraktowałabym ich tak, że poszłoby im w pięty. Poczęstowałam ich kieliszkiem wina, bo byli zziębnięci, musieli gdzieś tu na ciebie czekać. Zasię dosiedli z powrotem koni, upewnieni, że cię tu nie ma. Prawili o jakowejś nagłej sprawie, że jakoby jesteś komuś nader potrzebny”.

Stanęło na tym, że poświęcimy noc na rozmowę, wyjadę zaś w drogę powrotną do Poznania nawet jeszcze przed świtem.

Siedliśmy przy winie. Tom ja był opowiadającym, a ona słuchała. O niej bowiem zdążyłem być dowiedzieć się wszystkiego w Anglii, zasię we Francji, w Berlinie, a reszty w Poznaniu. Przywiozłem sobie z Paryża dzieło *Les Polonais et les Polonaises de la Revolution du 29 Novembre 1830\**, zawierające portrety i biografie osób najbardziej zasłużonych w powstaniu. Jest w nim i o zasługach panny Sczanieckiej.

Opowiadałem przeto Emilii o moich losach powstańczych – jeszcze raz, bo doprawdy znała je w części z moich ust, w części z ust naszych wspólnych przyjaciół, lubo być może nie wszystko wiedziała dokładnie.

Kiedym wspomniał owe czasy, bardziej niż kiedykolwiek cieszyło mnie to, iżem od początku pobytu w Warszawie był

\* Polacy i Polki w rewolucji dnia 29 listopada 1830 roku.

prostym żołnierzem, iżem wzbraniał się od pełnienia funkcji wyłącznie lekarskich.

Jako strzelec konny sypiałem w koszarach przy ulicy Królewskiej, tam dbałem o swego konia i o jego oporządzenie, uprzętałem stajnię, chadzałem z drewnianą miską do kotła po żołnierskie obiady. Później, już jako wachmistrz, a wreszcie porucznik, brałem udział w walkach, lubo nie w pierwszej linii. Niestety, musiałem na koniec usłuchać rozkazu, kierującego mnie jako chirurga do sztabu generała Skrzyneckiego. Aliści dowiedziawszy się, że generał Dezydery Chłapowski – mój stary znajomy i przyjaciel – organizuje grupę instruktorską do wysłania na Litwę, poprosiłem o przyjęcie mnie do niej. Udało mi się. W osiemnastoosobowej grupie byli i Maciej Mielżyński, i Gustaw Potworowski, i ksiądz Loga, i Śmitkowski. Ja – lubom pracowałem jednocześnie jako doktor – zostałem w randze kapitana adiutanta pełniącym obowiązki szefa sztabu. Wilno, Lida, pod Lidą potyczka, w dwa dni potem utarczka z Kozakami pod Uzugościem, zasię Troki i partyzantka w lasach. Potem Kowno, Kiejdany, Rosienie. Pod Szawłami straciłem w bitwie Adama Logę – kapelana, tak mi drogiego przyjaciela. Na koniec pełne goryczy i upokorzenia przejście granicy pruskiej i co najgorsze – internowanie. Moja rozpacz nie miała granic. Tyle, żem miał co robić jako medyk: walczyłem z cholera pierwszą w obozie wojskowym, potem wśród mieszkańców Kłajpedy.

Wracać po tym wszystkim do Poznania, by wpaść w mściwe łapy władz pruskich? Lubo raczej udać się na emigrację? Oto pytania, jakie wówczas przede mną stanęły.

Poszedłem był za radą Chłapowskiego i udałem się do Anglii, podróżując siedem tygodni, albowiem z początku chwyciła mnie choroba, a po niej musiałem odbyć kwarantannę.

Nie opowiadałem Emilii ze zbytciem szczegółów o moich medycznych pracach i o studiach w Montrose, Edynburgu, Londynie, Birmingham, Aberdeen, Warwick. Równie krótko streściłem swe podróże po Francji i po Anglii. Tam zakładałem filie Towarzystwa Przyjaciół Polski. We Francji leczyłem mnogość emigrantów.

Wstąpiłem był do Towarzystwa Literackiego. A lubo stanowiło ono klub obozu Czartoryskiego – nie czułem się związany ani z tym, ani z innymi ugrupowaniami politycznymi. Czartoryski pouczał mnie był, że Polska może powstać jedynie przez zwycięskie powstanie ogólnonarodowe, rozpoczęte w

odpowiedniej sytuacji politycznej, przeto trzeba do tego sposobie wszystkie narodowe siły.

„Nie wszystkie z zaleceń Czartoryskiego odpowiadają mi” – oświadczyłem Emilii. „Owszem, przyznam, iż trzeba wyszukiwać i kształcić młodzież uzdolnioną, że trzeba wzmacniać pozycję moralną i materialną narodu. Aliści po klęsce powstania listopadowego należy zaniechać zabiegów militarnych.

Widziałem zdumienie, malujące się na obliczu mojej przyjaciółki.

„I to mówi mąż – przerwała mi – co przed niewielu minutami zarzucał wieszczowi, że ten nie poszedł do powstania?”

„Tak. Adam Mickiewicz aspiruje do narodowego przywództwa, a jam jest jeno narodowym wyrobnikiem. On winien świecić przykładem jako pochodnia, a nie wałęsać się po dworach – bawić damy i miłośnikom się oddawać, gdy naród powstał do walki” – powiedziałem dobitnie.

Emilia śmiała się ze mnie w głos, trzymając w ręce przyniesiony przeze mnie z kryjówki zeszyt.

„Mój Boże! Przeczytałeś ten fragment o Krzyżanowie! I tak się nim przejąłeś!”

„Tak” – potwierdziłem. „Przeczytałem i nie śmiej się z tego. Samaś mi to doradzała, przetom lekturą skracać sobie czas oczekiwania”.

„W istocie, nasz poeta nosi się jak paw i innych robi głupimi. Atoli jest to być może jeno niezręczność opisu” – zauważyła Emilia. „Moja przyjaciółka chciała uczynić siebie główną bohaterką, na którą sławny gość zwrócił uwagę. A resztę może zniekształciła?”

„Ponoć on zawsze tak się nosi. Boże daj, by to kłamstwem było, atoli słyszałem o tym i skądinąd” – odparłem.

Emilia z powrotem spoważniała.

„Może masz i rację. W okresie Bożego Narodzenia 1831 roku spotkałam się z Mickiewiczem w Objezierzu. Poznałam tam przy tej samej sposobności Wincentego Pola i Stefana Garczyńskiego. Wyznam ci, iżem widziała na własne oczy, jak on miał ich za nic. Nosił się w ogóle nadto dumnie, lubo osobiście nie mogę narzekać, był dla mnie grzeczny. Może to nie dziwne, bom chodziła wówczas w powstańczej sławie, nosiłam czarną suknię na znak żałoby po klęsce, no i koniec końców byłam młoda”.

„Mój Boże” – wtrąciłem, kręcąc przecząco głową. „Teraz to niby jesteś stara?”

Jakoby nie zwróciła uwagi na moje słowa i opowiadała dalej:

„Zdawało mi się wonczas, że Mickiewicz, przy całej kurtuazji swej, traktuje mnie jako wyrzut sumienia. Młoda kobieta w wirze walki powstańczej i on, w istocie uganiający się za Konstancją Łubieńską. Ale mniejsza z tym. Słyszę, że teraz ty, nie dość że stronisz od konspiracji, to nawet jesteś jej z gruntu przeciwny”.

„Stronić jestem zmuszony, samaś się przekonała, że mię mają na oku” – odpowiedziałem. „W czerwcu czeka mnie proces, a po nim, nie wątpię w to, twierdza. Jeżeli chodzi o przekonania, to doprawdy, nigdy nie były one takie same jako moje porywy serca. Od dawna trafiają mi do przekonania poglądy hrabi Edwarda Raczyńskiego. A wzmocniły się one wpływy teraz, po doznanej goryczy klęsk, po powrocie z tułaczki, kiedy prześladowania i zemsta dosięgły nie mnie jeno, nie jeno ciebie, Emilio. A ileż polskiej krwi popłynęło? Azali nie ty wiesz o tym najlepiej? Doprawdy, byłaś przecie wielką samarytanką powstania”.

Emilia westchnęła. Zasłoniła oczy dłońmi.

„Tu ukrywali się bojownicy” – mówiła, jakby łkając. „Tu obok dworku mego zbudowałam szpitalik. Do dziś mieszka w tym szpitaliku bezręki weteran i inwalida, Antoni Golec. Przywiozłam go z Warszawy, by wyżył, albowiem w przeciwnym razie zginąłby marnie. Ileż nawojowałam się z władzami, by mógł tu pozostać. Na koniec od króla samego otrzymałam zgodę na pozostawienie go w pakosławskim szpitaliku. Ot, owoc rewolucji! A ileż podobnych nieszczęść ludzkich! Aliści jam nie straciła nadziei ni wiary i będę walczyła dalej. I, chwała Bogu, jest wielu takich, w których ni klęski, ni ofiary poniesione nie zachwiały ducha”.

Opowiadała teraz ona, a jam słuchał. Mówiła o swych związkach z emigracją. Były to działania po prawdzie konspiracyjne, acz bynajmniej nie zbrojne. Rozpowszechniała na terenie Księstwa Poznańskiego pisma i książki emigracyjne, kierowała przemycaniem ich do Królestwa Kongresowego. Nic nie wskórały w jej pałacu pruskie rewizje, poszukując obciążających ją materiałów. Władze przeto, wiedząc wszystko, a niczego nie mogąc udowodnić, mściły się, odmawiając prawej i bohaterkiej niewieście paszportu zagranicznego. Książki kolportowane przez nią docierały nawet do niepiśmiennego ludu – przekazem słownym. Kaleki Golec

uczył się na pamięć całych ustępów z *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego* i chodził po okolicznych wsiach, gdzie gromadzącym się w chatach kmiotkom recytował patetycznym głosem poszczególne wersety.

Kończąc swe opowiadanie Emilia dodała jeszcze: „Książki i gazety emigracyjne podtrzymują ducha walki z wrogiem. Kiedy przyjdzie do zmierzenia sił, ochotników nie zabraknie. Jedno pewne: rewolucja jest celem; który nie schodzi nam z oczu”.

Westchnąłem ciężko. Och, azaliż mogłem przeciwstawić się tej niewieście? Czekala mnie z jej strony, doprawdy, co najwyżej taka sama krytyka, jaka spotkała Mickiewicza za wędrowanie w czas powstania po dworach. A przecież ja pojmowałem intencje rewolucjonistów, chodziło jeno o to, by oni nawzajem pojmowali intencje moje. Powiedziałem:

„Azaliż neguję to, co czynisz, Emilio? Przecie oświata ludu, podnoszenie i ducha jego, i ciała, to moje cele, a to także samo twoja praca”.

„Chcesz rzec, że czynimy to samo?” – zapytała.

„Nie” – wyrzekłem z mocą. „Boże, nie daj nigdy już wojny, modlą się o to ludzie w świątyniach każdego dnia. Także ja pragnę budować polskość w czas pokoju. Prowadzę jawną walkę z zalewem prusactwa po myśli Edwarda Raczyńskiego, który, pamiętaj, służył w powstaniu jako i my. Azali w swym warszawskim pałacu, o czym ty sama najlepiej wiesz, nie kazał urządzić szpitala wojskowego? Nie utrzymywałże go własnym kosztem? W Rogalinie wszyscy skubali szarpie. Konstancja Raczyńska posyłała swemu synowi wielkie kwoty na organizowanie szwadronów jazdy poznańskiej. Aliści od czasu klęski napoleońskiej najważniejsze są w życiu Edwarda Raczyńskiego inne dokonania: budowle publiczne, dziesiątki wydawanych książek polskich, działalność parlamentarna, podnoszenie gospodarki rolnej, dbałość o chłopstwo. Tym wszystkim umacnia on narodowość polską. Uważa, iż lepiej umacniać ją takowymi sposobami, aniżeli walką osłabiać”.

„I ty uważasz tak samo...” – powiedziała ze smutkiem Emilia.

Spojrzałem prosto w jej oczy. Te słowa brzmiały, doprawdy, jak zarzut. Patrzyła w stronę ciemnego okna, za którym iskrzyła się gwiazdami noc majowa. Jej twarz, na której mimo wewnętrznego uniesienia widniał ogromny spokój, jaśniała w chybotającym się blasku świec. Kochałem ją w tej chwili

bardziej jeszcze niż dotąd, kochałem tym bardziej, im dalej odchodziła ode mnie swymi myślami, im większa między nami otwierała się przepaść. Och, jak pragnąłem w tym momencie wziąć ją w ramiona!

„Uważam tak samo” – potwierdziłem jednakowoż, lubo te słowa oddalić ją mogły ode mnie całkowicie. „Zresztą nie żołnierską mam naturę. Kiedym na Litwie pełnił służbę szefa sztabu, radując się, że wykonuję prawdziwie wojskowe funkcje, krytykowano mnie. I cóże mogę za to, że nie na żołnierza się urodził, jeno na robotnika? Nikt jeszcze nic nie zarzucił mojej sztuce medycznej”.

Milczeliśmy przez moment. Moja rozmówczyni nie przedstawiała argumentów przeciwnych, może zwlekała z ujawnieniem ich? Wykorzystałem ten czas jej namysłu, by powiedzieć jeszcze: „Nie przeczę przecie, że konspiracja ma swe dobre strony, bo nawet nie doprowadzając do swych celów ostatecznych, udziela soków żywotnych naszym społecznym dążnościom. A z drugiej strony praca społeczna sprzyja, daj Boże, skupieniu sił narodowych, a przeto pośrednio i osiągnięciu celów rewolucyjnych. Tyle, że zdobycie wolności politycznej i powołanie państwa polskiego odkładamy na czas nieokreślony, na chwilę sposobną, która nie będzie wymagała nadmiernego przelewu krwi. Doprawdy, w czym rzecz, mój Boże!”

Teraz Emilia spojrzała prosto w moje oczy. Usłyszałem jej słowa, brzmiące jak zła wróżba:

„Rzecz w tym, Karolu, że nasze drogi rozchodzą się”.

„Przecie prowadzą do tego samego, do wyzwolenia ojczyzny!” – zawołałem, zerwawszy się z miejsca. „Na Boga, jakżeż mogą się rozchodzić? Azali nie pojmujesz tak prostej sprawy?”.

I ona podniosła się z fotela. Czyniła to spokojnie, z godnością. Na jej obliczu malowała się duma. Pewnikiem zraniło ją ostatnie zdanie moje. Azali jużem drzewiej nie naraził się komuś powiedzeniem takim? Och, Edward Raczyński na wyspie w Zaniemyślu! Atoli sytuacja była wtedy odwrotna – ja byłem za konspiracją, on przeciwko jej. Teraz stoimy po tej samej stronie... Ale Emilia, Emilia...

Ogarniał mnie gniew, który z trudem powstrzymywałem w sobie. Siłąc się na spokój, patrzyłem, jak moja najdroższa uparcie milczy. Rzuciłem jeszcze: „Nie wojna, jeno pokój jest urodzajną porą...”.

Uświadomiłem sobie zaraz, że powtarzam słowa Raczyńskiego. Dolały one jeszcze oliwy do ognia. Od tego momentu Emilia stała się jakby odmieniona. Rozprawiła ze mną uprzejmie i życzliwie, atoli jak człek obcy. Pojmowałem, że patriotyzm jej nie znosił żadnych odchyień od tego, co sama czuła. A mnie – choleryka – każde nieodparte przeciwieństwo pobudzało do gniewu.

Moją wyobraźnię napastowały w tej chwili na zmianę dwa obrazy: to błyszczący złotem pierścień damski z literami MR, to rozebrana w kryjówce dziewczka służebna. Gardziłem jednym i drugim. Gardziłem zarówno złotem, jak łatwą uciechą cielesną. Jedno co mnie szczerze napełniało – to miłość: miłość do ojczyzny i miłość do Emilii. Nie stało we mnie miejsca na nic więcej.

Nie powróciło już onej nocy owo ciepło, jakim darzyliśmy się wzajem w momencie powitania. Oboje panowaliśmy nad sobą, by nie wybuchnąć zapalnym słowem, i to było wszystko, cośmy mogli i umieli dla siebie uczynić.

Kiedym już począł myśleć o tym, by zbierać się w drogę – pojawiło się w drzwiach salonu widziadło w bieli. Najsam-pierw usłyszałem samo skrzypnięcie drzwi, a gdym spojrział w tę stronę, ujrzałem niewiastę, która wydała okrzyk trwogi i raptownie się wycofała.

Doprawdy, dopiero ta scena przywróciła uśmiech na oblicze gospodyni. Roześmiawszy się powiedziała:

„Moja imienniczka! Musiała zbudziwszy się, usłyszeć z góry rozmowę, i zesła. Zobaczysz ją niebawem, na pewno autorka pamiętnika ubiera się już”.

Nadeszła istotnie po paru minutach, z pozoru poważna i stateczna, lubo ruchy jej zdradzały egzaltację. W ciemnej sukni szła ku nam z jakowymś wyczuwalnym z daleka niepokojem i paliła trzymaną między palcami prawej ręki cygaretkę, puszczając przedsię kłęb dymu.

„Dzień dobry państwu! Nie poinformowałaś mnie, Emilko, że masz gościa!” – powitała nas, przybliżając się i odkładając cygaretkę do stojącej na stole popielnicy.

„Toż informowałam cię o doktorskiej wizycie. No, a potem spałaś” – odpowiedziała Emilia.

„Toż to. Położyłam się tak rychło, na początku burzy, spałam jak suseł, a teraz już nie mogę zmrużyć oka. A państwo tak przez całą noc tutaj? Aliści pragnę na koniec poznać twego gościa, bo przecie rozprawiacie na pewno już nie o chorobach”.

„Pan doktor Jan Karol Marcinkowski”.

Podawała mi rękę do pocałowania, mówiąc z przesadą:

„Ach, nasz bohater, nasza sława! Ileż straciłam przez nieobecność tutaj!”

„Wybaczy waćpani, doprawdy, klnę się na Boga, żem to ja stracił wiele, jako że akurat zbieram się do odjazdu. Wyczerpaliliśmy już temat, a mnie w Poznaniu oczekują obowiązki. Boże daj, byśmy się jeszcze spotkali...” – odpowiedziałem jej równie dwornie.

Dama ta zapewne musiała wiedzieć, co łączyło mnie z Emilią, ciekawa więc była mnie poznać, a do tej pory nie mieliśmy okazji spotkania. Aliści pojąłem teraz do końca, że mogła tak pisać o Mickiewiczu. Tym spieszniej było mi do odjazdu. A w dodatku i po co miałbym tytuniowym dymem się krztusić?

Opuściwszy salon przebrałem się szybko w moje wysuszone już odzienie i stanąłem gotów do podróży. Nie chciałem słyszeć o powozie, który mi Emilia pragnęła ofiarować w drogę. Majowa noc była nazbyt piękna, a zbliżający się świt obiecywał wspaniałe widoki.

Wyszliśmy we troje przed pakosławski dwór, zanurzony w ciemność i w cichy szept wiatorku. Pokrywała go jarząca się gwiazdami kopuła blednącego od wschodu nieba. Horyzont począł się rozjaśniać, gwiazdy po wschodniej stronie całkiem znikły. Niewielki dworek miał ponad wejściem część piętrową, zwieńczoną płasko, a po jej bokach facjatki. Wyglądało to uroczo, swojsko, po polsku. Szumiały wokół drzewa. Słowik śpiewał gdzieś daleko, na skraju parku.

Emilia wydawała stróżowi polecenie, by sprowadził mego konia. Szliśmy we troje w stronę bramy. Egzaltowana dama ciągnęła swój monolog, pełen zachwytów nade mną.

Wyjąłem z kieszeni niewielki tomik, chowany na moment pożegnania. Korzystając z krótkiej przerwy w monologu sensatki, zwróciłem się do pakosławskiej pani:

„Nie sama rozprowadzasz książki z emigracji. Popatrz, udało mi się przewieźć ten tomik przez granicę, przetrzymać go w aresztach, a to wszystko, doprawdy, z myślą o tobie, wspaniałej bojownicze. Racz przeto go przyjąć. To wiersze powstańcze Konstantego Gaszyńskiego, wydane w 1832 roku w Paryżu”.

Przyjmowała książeczkę z mej ręki w solennym milczeniu. Podziękowała po krótkim momencie i przeczytała dedykację,



jaką napisałem na karcie tytułowej. Rzekła, że ceni sobie nader ten upominek.

Akurat zjawił się stróż z latarnią, oznajmiając, że koń będzie wkrótce gotowy. Kazała mu unieść latarnię i zbliżyć ją do książki. Łatwiej teraz było jej czytać. Przewertowawszy kartki, poczęła recytować:

Schowaj, matko, suknie moje  
Perły, wieńce z róż:  
Jasne szaty, świetne stroje  
To nie dla mnie już!  
Niegdyś jam stroje, róże lubiła,  
Gdy nam nadziei wytrysnął źródł,  
Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła,  
Jeden mi tylko przystoi stróż:  
Czarna sukienka!

Zadumaliśmy się... Niebo rozjaśniało się na dobre, a gwiazdy zbladły całkiem. Ptaki szalały w parku. Było majowo, wspaniale... Jeno...

Spojrzałem jeszcze raz na Emilię. Rozglądała się po niebie, jako i ja przed momentem. Atoli odczuwszy wzrok mój na sobie, popatrzyła mi prosto w oczy.

„Dziękuję ci za te poezje, Karolku” – powiedziała serdecznie. „Nie gniewaj się na mnie. Byłam dzisiaj mało gościnna”.

Teraz moja radość nie miała doprawdy granic. A więc wiersze odmieniły wszystko? Przywróciły porozumienie? No nie, musiało chyba nieporozumienia nie być wcale, może jeno mała, malutka niejasność...

Chciałem pożegnać się i dosiąść konia, który już czekał na mnie, atoli damy prowadziły mnie dalej, za bramę. A kiedyśmy przekroczyli granicę parku, raptem zza drzew przydrożnych doszedł nas okrzyk:

„Halt! Stehen bleiben!”\*

Jednocześnie ukazali się dwaj policjanci. A toż te pikielhauby pilnowały mnie przez całą noc! – pomyślałem od razu.

„Guten Morgen, Herr Doktor Marcinkowski!\*\* Może wybiera się pan do Poznania?”

\* Stój! Zatrzymać się!

\*\* Dzień dobry, panie doktorze Marcinkowski!

„Dzień dobry, panowie. Tak, jadę właśnie do Poznania”.

„Pozwoli pan towarzyszyć sobie? O tak rannej porze droga może okazać się niebezpieczna”.

„Nawykłem do niebezpieczeństw, proszę się o mnie nie niepokoić. Dbają o mnie moi pacjenci, którym muszę niekiedy poświęcać nawet godziny nocy, zwłaszcza gdy zostaję wezwany tako raptownie jako dziś”.

„Rozumiemy...”

„Aliści, kiedy panowie macie rozkaz...”

„Mamy rozkaz towarzyszyć panu, *Herr Doktor*”.

Prusacy wynurzyli się z wolna z mroku i stanęli całkiem blisko przed nami. Emilia patrzyła na nich z miną pełną przerażenia, ale zaraz opanowała strach.

„Powiedziałam wam przecie wieczorem, *meine Herren\**, że doktora Marcinkowskiego nie ma u mnie! Jak śmieliście nie wierzyć mi?”

„A jednak doktor jest u pani, pani *dziecziczko*” – zaoponował jeden z nich.

„Przyjechał przed godziną, widocznie spaliście panowie w tym czasie. Proszę natychmiast ruszać naprzód i zaczekać na końcu parkanu, aż pan doktor tam podjedzie. Nie sądzicie chyba, że będzie bawił się z wami w ciuciubabkę! Nie doprowadzajcie mnie do tego, bym złożyła na was skargę, że niesumienne wypełniacie swe obowiązki. Marsz! Muszę pożegnać się z doktorem Marcinkowskim, rozumiecie, panowie?”

Policjanci pokornie oddali honory i oddalili się. Wiedzieli, z kim mają do czynienia. Całe Księstwo – i Polacy, i Niemcy – znało nieustraszoną odwagę pakosławskiej *dziecziczki*. Przeto i ci wiedzieli, że trzeba z nią ostrożnie, bo trafia do najwyższych władz i nigdy nie wiadomo, kiedy i skąd na głowę *marne*go sługi króla pruskiego spaść może kara miasto nagrody.

Po krótkim momencie było słyhać, jak odwiązują konie od sztchet i jak ich dosiadają. Na koniec kopyta zadudniły truchtem.

Emilia uśmiechnęła się teraz czule – czulej jeszcze niżeli przy powitaniu. Azali to nie tomik poezji sprawił i przygoda z żandarmami? Tak, to one nastroiły ją tak pogodnie, bo czuła się w swoim żywiole. Bo, doprawdy, uwielbiała walkę, niebezpieczeństwa były jej potrzebne jako powietrze do oddychania.

Podawała mi dłonie życzliwym gestem. Ucałowałem obie z

---

\* *Moi panowie.*

ekstraordinaryjną gorliwością. Złożyłem głęboki ukłon drugiej damie.

Nagle moja ukochana poruszyła się ze szczególną żywością, pochwyciła przegub mej ręki i powiedziała:

„Alé, ale, Karolu! A jak to z owym pierścieniem, który przed laty znalazłeś w Kórniku? Zawsze obiecywałeś pokazać mi go. Azaliż go nie zgubiłeś w wojennych tarapatach i późniejszych podróżach?”

„Nie” – odrzekłem. „Leży tam gdzieś na dnie szuflady. Doprawdy, nie złoto mi w głowie. Muszę darować go jakowejś damie nie grzeszącej nadmiarem klejnotów...”

„Pierwej jednak mi go pokażesz. Jakież to litery są na nim wyryte?” – spytała.

„MR. Jakoby cyfra mojej siostry” – odrzekłem. „Dlaczego jednakowoż na przedzie nazwisko, zaś za nim imię?” – zastanowiłem się znowu jak kiedyś, gdy go znalazłem.

„Jużes to dawno wyjaśnił. To nie jej pierścień, jeno zbieżność liter przypadkowa. Atoli jedź już, bo tam na ciebie czekają”.

Podąła mi obie dłonie gestem najżyczliwszym. Ucałowałem w pierw jedną, zaczem drugą, jeszcze raz skłoniłem się Emilii Stabléwskiej, zaś z żwawo wskoczyłem na koń.

Jakiż byłem szczęśliwy! Pal licha żandarmów, zdążyłem przywyknąć do nich jako do codziennego chleba. A czułości na co dzień zawsze mi brakowało.

**Fragment pamiętnika; wpis dokonany po sobocie  
29 stycznia 1842 roku, spędzonej w Berlinie**

Iść? Nie iść?

Przy każdej inszej sposobności leciałbym na skrzydłach do pałacyku przy Friedrichstrasse. Być w Berlinie i nie odwiedzić Emilii Szczanieckiej? Doprawdy, to nie do pomyslenia. Przynajmniej Poznańczyk nie mógł tam nie iść. A cóż dopiero ja! Tylem razy odbywał drogę z Poznania do Pakosławia po to jedynie, by spojrzeć w oblicze Emilii, w jej oczy, by z nią pogwarzyć, wymienić poglądy. Doprawdy, Bóg mi świadkiem, zem czynił to w każdym donioślejszym momencie żywota swego. A teraz miałbym nie pójść do niej, znajdując się w

odległości jednej wiorsty? Na dobitek miałem w kieszeni ów pierścień, który tyłem już razy miał jej pokazać...

Wielka córka Wielkopolski wstawiona była w całym kraju i w Europie ową wspaniałą działalnością na rzecz walki o polskość. Ujęła serca społeczeństwa udziałem w powstaniu, które nazwano listopadowym. Azaliż nie ja – jej towarzysz i współpracownik – najlepiej wiedziałem, ile zdziałała dla wojska, dla rannych, dla więzionych i skazywanych? Przed dziesięcioma laty, w swym dwudziestym ósmym roku życia, doczekała się obszernej biografii z portretem w albumowym wydawnictwie, opublikowanym w Paryżu, a zawierającym sylwetki największych bohaterów polskich. Boże daj każdemu taki splendor. Była skazywana, wyłączone, prześladowana przez policję. Nie daj Boże moim wrogom tego zła, co ją spotyka. Konspiruje i teraz – nie zważając na nic – konspiruje bez ustanku. Żyje ciągle dla innych. Pałacyk w Berlinie kupiła po to, by ułatwić studia cudzym dzieciom – krewniakom swoim. Tkwi w niej matczyne instynkt, lubo nigdy nie została matką. Tkwi w niej i czujność, by nie mogąc studiować w Polsce, dzieci nie zniemczyły się na pruskim uniwersytecie.

I teraz siedzi w stolicy Prus – myślałem – by w kształtowaniu duszyczek cudzych potomków pomagać. Jej salon – to polski salon, zagnieżdżony w środku prusactwa, skupiający najdzielniejszych Polaków. Stąpa po jego posadzkach młodzież całej Wielkopolski.

I co: być w Berlinie, być na dobitek przyjacielem Emilii Szanieckiej i nie odwiedzić tego domu? A mógłby mnie przecie zoczyć na ulicy ktoś, kto już jej doniósł o mojej tu obecności. Miałbym się wtedy za swoje...

Połączyły nas silne więzi już dawno temu – wtedy jeszcze, kiedym jako student pełnił obowiązki mentora braci Szanieckich, a w czas ferii odwiedzał ich w Wąsowie. Tam poczęła się miłość nasza. Jam miał lat dwadzieścia, ona siedemnaście, kiedy zapłonęły dla siebie nasze serca. Gdym wyjechał z Wąsowa – spotykaliśmy się nawet dosyć często i pisaliśmy do siebie. Od początku jednak do końca – do tego oto dnia dzisiejszego – wiedzieliśmy i wiemy, że jest to miłość nie do spełnienia. Doprawdy, cierpienia młodego Wertera z literatury stały się rzeczywistością. Ja – syn oberżysty poznańskiego – nie mogłem zostać potraktowany poważnie przez rodzinę magnacką, lubo sama Emilia nie zawahałaby się związać swoje życie z moim. Dla tych panów mogłem stać się

partnerem w działalności – jak to bywa w świecie – towarzyszem walk, nawet przyjacielem, atoli nigdy, przenigdy ubiegającym się o rękę panny. Przetom został dla Emilii przyjacielem właśnie, przetom został pomocnikiem i lekarzem domowym. Azaliśmy w ogóle kiedykolwiek rozmawiali otwarcie o miłości?

Czym byłem dla rodziny Emilii, okazało się teraz, w ostatnich dniach.

Siedząc w podrzędnym hoteliku berlińskim, gniotłem w rękach przywiezione z sobą gazety, wahając się: iść czyli nie iść?

Azaliż nie powinienem był raz na zawsze wyrwać się ze społeczności tych dumnych, chełpliwych ludzi, traktujących po pańsku każdego, kto nie jest szlachcicem? Przypomniała mi się teraz rozmowa z hrabim Edwardem Raczyńskim na wyspie w Zaniemyślu. To prawda, że od tego czasu wszystko się między nami odmieniło, aliści sceny tamtej nigdy nie wymażę z pamięci... Zresztą, czyż jego duma – czyż duma wszystkich tych panów – zna granice? Bo nawet tenże wielki już, zasłużony, przezacny hrabia Raczyński, który od dawna już z taką przyjaźnią odnosi się do mnie, wystąpił na przeszłorocznym posiedzeniu sejmu pruskiego przeciwko wnioskowi Karola Stablewskiego o zniesienie praw i przepisów, czyniących różnice pomiędzy szlachtą a nieszlachtą. Nawet ten wspaniały człowiek uzasadniał, iż „kto znosi szlachectwo, wchodzi na równię pochyłą”. Odczułem to wówczas doprawdy jako policzek, kiedym czytał o tym w gazecie. Jako ten policzek, który nie został mi wymierzony tam na wyspie... Mimo to nie mogłem doprawdy wyzbyć się swego szacunku dla dziedzica Rogalina.

I oto co się stało?

Och, przekłety pismak jakowys ukrył się za literkami „v.K.”, by mnie publicznie osmagać, próbując poróżnić z tymi, z którymi doprowadziliśmy byli do tego, że polski Bazar stoi i żyje, że będzie promieniował polskością, rozkrzewiał polską gospodarkę i kulturę, rozwijał polski handel i polskie cnoty. Przekłeta redakcja „Leipziger Allgemeine Zeitung”, która akuratnie w noworocznym numerze razem z powinszowaniami wypuściła w świat kłamliwe świństwo owego „v.K.”!

Uderzyłem gazetą w stół, rzuciłem nań drugą, którąm był przywiózł takż z Poznania – zawierającą pełen oburzenia list weterana 1831 roku, Jana Ziemięckiego z Gołęcina.

„Pójdę” – postanowiłem głośno. „Pójdę do niej”.

Przypomniałem sobie, z jaką serdecznością namawiał mnie był młody profesor gimnazjum Marii Magdaleny, doktor Hipolit Cegielski, do pozostania na uroczystości, jaką gotowano w Poznaniu na moją cześć. Ten troskliwy żonkoś myślał z przesadną dbałością o zdrowiu poślubionej dopiero co połowicy i kiedy po kolejnym balu karnawałowym poczęła lekko kasłać – przyprowadził ją do mnie tuż przed moim odjazdem. Walentynie Cegielskiej nie było oczywista nic, no, niemal nic, atoli wizyta stała się okazją do krótkiej rozmowy. Profesor, słysząc o moim wyjeździe, zawołał: „I nie wrócisz pan, doktorze, na niedzielną uroczystość”. Kiedym go o tym zapewnił, począł biadać: „Toć mamy uczcić zasługi pana, by zmanifestować przeciw kalumniom ogłoszonym w Leipzigerze. Zarząd Bazaru ma z onego zgromadzenia postać do redakcji list, zawierający hołd dla pana i zapewnił sobie w gazecie miejsce na obszerne sprawozdanie z uroczystości”.

Mówił rzeczy znane mi, przetom mu przerwał: „Azaliż musisz mi pan powtarzać to wszystko, co wiem?! Azaliż, do-prawdy, nie pojmujesz pan, profesorze, że mnie zawstydzają jakoweś tam hołdy?” – „Pojmuję jednakowoż i to, że bolą cię, doktorze, kalumnie” – odrzekł.

Cegielski poruszał głową niezręcznie, nie wiedząc, jako wybrnąć z tej sytuacji. Rzekł na koniec – patrząc na swą młodą żonkę – cichym, pokornym głosem: „Proszę i mnie wyrozumieć. Wybieramy się z żoną i teściem do Bazaru na uroczystości ku czci pana i oto dowiaduję się raptem, że główny bohater nie będzie tam przytomny. To tak, jakoby iść do teatru i nie zastać w nim artystów”.

„Pójdę do Emilii” – postanowiłem głośno raz jeszcze. „Samotność w tym berlińskim hoteliku doprowadzi mnie – nie daj Bóg – do szaleństwa”.

Zwinałem obie gazety w rulon, który wsunąłem do kieszeni surduta. Włożyłem futro i wyszedłem na zalaną styczniowym słońcem ulicę. Dzień był bezwietrzny, omal ciepły. Ulice suche, czyste. Pogoda całkiem nie styczniowa. Dodało mi to otuchy, której mi brakowało, kiedym onegdaj przyjechał był do Berlina. Cały wczorajszy dzień spędziłem w szpitalu miejskim, by u znajomych lekarzy dowiedzieć się nowości medycznych. Nie miałem odwagi, by odwiedzać inszych znajomych, a tym bardziej przyjaciółkę najserdeczniejszą, lubo mógłby ktoś rzec, iżem od niej winien rozpocząć swój tutaj pobyt.

Służba pałacyku na Friedrichstrasse знаła mnie dobrze. Pokojowa pośpieszyła z informacją, że pani akuratnie siada do śniadania, wyprawiwszy krewniaków-studentów na uczelnię. W istocie, zaraz i Emilia powitała mnie okrzykiem: „Karolu! Skąd wiedziałeś, że będę dziś tak późno jadła śniadanie?”

Wyglądała ślicznie, jako żywo, ciągiem jeszcze młoda. Jej wielkie, czarne oczy patrzyły przenikliwie, tchnęły atoli życzliwością. Pod wysokim czołem – jeszcze wolnym od zmarszczek – włosy spięte po dawnemu, zwieńczone otoką zwiniętego warkocza. Była odziana w długą, prostą, błękitną suknię z płytkim dekoltem, na którym zwisał złoty krzyżyk na grubym łańcuchu.

Jedliśmy śniadanie rozmawiając żywo. Emilia mówiła o wszystkim: o znajomych, o polityce, o Bazarze, który stanowił najnowszy temat rozmów poznańskich – wyraźnie jednak unikała onej bolesnej dla mnie sprawy, którą – jakem wyczuwał – jednak znała. Dopiero pod koniec śniadania, kiedyśmy delectowali się już jeno wyśmienitymi konfektami prosto z Paryża – spytała jakoby niechęć: „Ponoć miałeś jakoweś przykości?” Doprawdy, wolałbym tego nie słyszeć, aliści wiedziałem, że nie da się uniknąć. Zbyteł ją krótkim oświadczeniem: „Ech jakowyś tam pismak...”

Gdym na nią patrzył i widział złoty krzyżyk zwisający z jej szyi, przypomniał mi się trzymany w kieszeni pierścień. Znalazłem oto stosowny moment, by przy jego pomocy odwrócić sprawę, o której mówiła. Sięgnąłem do kieszeni, położyłem pierścień na stole i rzekłem: „Nareszcie pokażę ci, com tak długo obiecywał”. Aliści ona odsunęła złoty krążek, położony na stole. Popatrzyła mi uważnie w oczy i wróciła do rozpoczętej rozmowy:

„My tu czytamy gazety berlińskie, przychodzi jeszcze «Przyjaciół Ludu» z Leszna, «Tygodnik Literacki» z Poznania, lipskich jednakowoż gazet nawet nie oglądam, bo skąd by tyle czasu na takie rzeczy. Obiecywał mi ktoś przynieść okropny ów numer «Leipziger Allgemeine Zeitung», atoli do dziś dnia go nie widziałam”.

Wyjąłem z kieszeni obie gazety, rozwinąwszy pierwiej tę z pierwszego stycznia. Pochwyciła ją, przewertowała, na koniec z moją pomocą znalazła ową *Ankündigung aus Posen\**. Wtedy

\* Wiadomość z Poznania.

złożyła arkusz tak, by było wygodnie czytać i szybko przebiegała wzrokiem tekst. Zawołała w pewnym momencie, nie przerywając prawie czytania:

„Co!?! Jakież to hrabia G.!? To pewnikiem wyspane z palca!”

Po jakowejś przerwie wybuchnęła znów: „On śmie podważać czystość twojej walki w powstaniu listopadowym! To już szczyt wszystkiego! Czynieć z ciebie karierowicza! Wymawia ci twoje pochodzenie? Toż to zwierzę jakoweś, nie człowiek!”

Od tych pór czytała tekst bez słowa, aż do końca samego. Jażem przez ten czas chował do kieszeni pierścioneć, któremu nie okazała zainteresowania. Odłożywszy gazetę na stół, nie kryjąc widocznego na całym obliczu wzburzenia, zwróciła się do mnie z zapytaniem:

„Hrabia G.? Azali on ma na myśli Grabowskiego?”

„Hrabi Grabowskiego bynajmniej nie było na posiedzeniu, z którego autor niby to zdaje relację. Wszystko od początku do końca jest doprawdy skłamane, bowiem nikt nie przemawiał tak, jako tu napisano” – odrzekłem.

„A kimże wobec tego jest autor? Ów «v.K.»?” – spytała jeszcze.

„Tego nikt nie wie”.

„Czym sumptem wydrukowano przeto tekst?”

„Prócz Niemców nie ma doprawdy nikogo innego, zainteresowanego szkodzeniem Bazarowi”.

„No tak. Atoli wtedy popłynąć winny do redakcji protesty z polskiej strony”.

„Wpływają” – rzekłem i podałem jej drugą gazetę.

Czytała uważnie, z ukontentowaniem. Odłożywszy ją, rozjaśniła się i raptem zapytała:

„Ale, ale, azali to jeno plotka była, że gotują w Bazarze uroczystość ku twojej czci? Zaraz, zaraz, to miało jakoby odbyć się w dniu twoich imienin? Ty obchodzisz oczywista po staremu nie Karola, jeno swe pierwsze imię, Jana? Kiedyż to przypada?”

Wstała gwałtownie, chciała wybieć z jadalni, aliści miasto tego ujęła dzwonek i potrząsnęła nim. Widziałem wielkie zaaferowanie w jej obliczu i ogarnął mnie wstyd, bo ta niewiasta gotowa była urządzić drugą uroczystość tu, na miejscu, i to może natychmiast.

Kiedy wszedł kamerdyner – zażądała odeń kalendarza. Przyniósł go niebawem. Wtenczas Emilia przewertowała



książkę energicznymi ruchami palców, a na koniec, rozpromieniona, wykrzyknęła, że przecie to jutro!

A jam nie wiedział, co mówić, co czynić. Byłem tak ogromnie zażenowany tym wszystkim. Ona zaś wyraźnie wyczekiwała na wyjście kamerdynera. Toteż gdy zamknęły się za nim drzwi, wybuchnęła:

„Kiedyż ty chcesz jechać do Poznania? Azali zdążysz? Ależ to niemożliwe!”

W jej oczach pałało wzburzenie. Spozierałem na nią nie wiedząc, co by jej rzec.

„Ależ powiedz coś, Karolu! Azali jutro odbędzie się owa uroczystość w Bazarze? Na pewno czeka mnie zaproszenie w Poznaniu lub Pakosławiu i zanim je tu doślą...”

„Mnie tam nie będzie” – odpowiedziałem. „Tuszysz Emilio, że człowiekowi w moim wieku, który ledwie przekroczył czterdziestkę, uchodzi przyjmować jakoweś tam najszczerze nawet hołdy, jakie przystoją doprawdy raczej starcom?”

Jej czoło zachmurzyło się. Myślała intensywnie przez jakiś czas. Rzekła na koniec, już spokojniej:

„Może ty i masz rację...”

Dopowiedziałem jeszcze:

„Na dobitek, doprawdy, nie powinien przyjmować podobnych hołdów człowiek tak niskiego pochodzenia, jak ja”.

Wybuchnęła od nowa:

„Karolu, proszę cię, nie mów takich rzeczy! Wszystko, jeno nie to! Nie powtarzaj mi owych nędznych inwektyw, zawartych w najgłupszym na świecie artykule!”

Staliśmy oboje w pobliżu okna, z którego widać było park, a za nim berlińską ulicę. Emilia zbliżyła się do mnie, ujęła moją rękę. Była dobra, czuła, miękka. Wyszepiała:

„No, dobrze już, dobrze, panie doktorze. Nie wątpię w to, że musisz cierpieć po tym wszystkim. Wiesz, jaka jest na to rada? Zapomnieć. Musisz się rozerwać, odegnać tamte myśli. Pojedziemy do Poczdamu na obiad, już to umyśliłam. Jest tam taka spokojna traktiernia. No dobrze? Zgoda?”

Czułem się bezradny w czulej pieczy jej słów, potrafiłem jeno uśmiechać się bezwolnie. Nie daj Boże z niewiastami, doprawdy...

„Każę zaprzęgać konie!” – zawołała z uciechą jako dziecko.

Już dzierżyła dzwonek w swej małej rączce, już potrząsała nim, już wydawała polecenia służbie. Przepraszała, że pójdzie się przebrać, a mnie kazała przejść do rokokowego saloniku.

Kryty powóz nie pozwalał na pełną kontemplację urody Berlina, przez któryśmy jechali dość długo. Minąwszy sam środek miasta, przemknęliśmy pod Bramą Brandenburską, zanurzyliśmy się w ogrodach pięknego Charlottenburga, a stąd wydostawszy się lasem Grünewaldu, pojechaliśmy wzdłuż jeziora, by po czasie jakowymś osiągnąć Babelsberg. Znałem dobrze Berlin, atoli z coraz to nowym zajęciem obserwowałem rozwój metropolii, którą królowie pruscy pragnęli doprowadzić do niespotykanej świetności. Muszę doprawdy przyznać, iż im się to udawało.

Kryty powóz nie pozwalał – jako już rzekłem – na pełną kontemplację urody Berlina, sprzyjał za to szczerzej, intymnej rozmowie. Och, Emilia stała się jeszcze bardziej czuła niżeli w domu. Widziałem, że czyni wszystko, co można, ażeby odpuścić ode mnie złe myśli. Było to jakoby otwarcie się od nowa dawnej księgi naszej miłości. Snuła się ta nasza miłość przez lata całe cieniutką, delikatną nicią wzajemnej czułości, nie wyznawanej słowem, jeno okazywanej spojrzemiami, gestami, częstymi odwiedzinami, wspólnym działaniem. Był okres, kiedy dwudziestodwuletnią Emilię chciano wydać za mąż, atoli nic z tego nie wynikło. Był okres, kiedy puszczono w Poznaniu plotkę, iżem oświadczył się pannie Szczanieckiej, atoli z powodu niskiego pochodzenia zostałem potraktowany czarną polewką. Wówczas rodzina jej poczęła uważniej mi się przyglądać, a że dwa razy ktoś z krewnych Emilii zapytał mnie wręcz, kiedy się ożenię, mając oczywista na myśli kogoś innego, jakowąś pannę mego stanu. Po raz trzeci zapytał mnie o to jej brat, a mój przyjaciel. Jemu odpowiedziałem szczerze, że niestety, nic z tego, bo, doprawdy, kocham jego siostrę. Aliści oświadczyć się? Nie, nigdy bym tego nie uczynił! Bez wątpienia prosił o jej rękę niejeden z tych kawalerów, co się do niej umizgali. A kiedy któregoś roku pułkownik Onufry Radoński przez dłuższy czas adorował ją całkiem oficjalnie, na oczach całej rodziny – wyjechała raptem, ku ogólnemu zgorszeniu „panieńskimi fanaberiami”.

Rozmyślałem o tym wszystkim, trzymając w dłoni swej małą rączkę Emilii, a ona wpatrywała się we mnie szepcząc serdeczne słowa – czyż nie pierwsze takie po tylu latach naszej przyjaźni? Tchnęły co prawda słowa te czułością, przypominającą może raczej matkę niżeli kochankę.

Kiedy nagle powóz stanął przed traktiernią jakowąś i chciałem wyciągnąć rękę ku drzwiczkom – przytrzymała ją. Spoj-

rzałem jej w oczy, a serce zabiło we mnie jako młot. Nie wiedziałem, co począć, bo nic podobnego nie przydarzyło się Emilii jeszcze nigdy. A to, co wyrzekła za moment – wykraczało ponad wszelkie moje wyobrażenia. Szepnęła bowiem drżącym, gorącym szeptem:

„Karolu, muszę ci powiedzieć, że teraz byłabym gotowa na wszystko”.

„Teraz?” – pomyślałem jeno. – „A przedtem nigdy?” Zapytałem przeto, jakbym doprawdy nie pojmował, o co chodzi: „Na co?”

Opuściła wzrok, jej oblicze zapalało rumieńcem. Poczęła mówić niecierpliwie, omal nie gniewnie:

„Azaliż ty nigdy nie powiesz mi nic mądrzejszego? Azali nie powinienes po tylu latach sam zadać mi pytania, które zdecydowałoby o wspólnym naszym losie? A ty udajesz, że niczego nie pojmujesz”.

Teraz opadł i mój wzrok i wstyd mnie ogarnął pod wpływem jej słów, bo w istocie, wyglądało na to, iżem jest nie dość że obojętny wobec niej, to na dobitkę jeszcze głupi. W dodatku niepokoiłem się, co pomyśli stangret, widząc, że tak długo nie wysiadamy.

Musiałem przecie na koniec coś rzec. Zacząłem więc:

„Och, widzisz, Emilio, Bóg stworzył nas bez różnicy, wycisnął w nas piętno obrazu i podobieństwa swego. Jest tym piętnem godność człowiecza. Przeto ja muszę zachować twoją godność, nie mogę pomyśleć, że stałabyś się dla pałaców Europy trędowatą”.

„Karolu!!” – zawołała z wyrzutem.

„I muszę zachować także godność własną – mówiłem dalej – nie narażając jej na ataki sfory dzikich bestii w ludzkich skórach”.

„Jesteśmy oboje niezależni” – rzuciła twardo.

„Nie, to nieprawda” – odrzekłem. „Sama w to nie wierzysz. Jesteśmy zależni co najmniej od ojczyzny swej. Ty w osamotnieniu nie mogłabyś prowadzić walki o wyzwolenie Polski, a ja, osaczony, nie mógłbym budować tej Polski po swojemu, w dziełach gospodarczych i kulturalnych. Cóż bowiem mogliśmy uczynić, jeśliby świat stanął przeciwko nam?”

Emilia milczała. Powoli wysuwała swą rączkę z mojej dłoni. Nie wiem, jak wyglądało jej oblicze, bom nie śmiał w tym momencie spojrzeć jej w oczy. Wiem, że musiała bardzo cierpieć, bom doprawdy uraził swymi słowy nie jej uczucia jeno, a

takoż jej dumę. To przecie ja podałem jej czarną polewkę...  
Raptem wyrzuciła z siebie jedno słowo: „Nie!”

Czekałem, czy coś jeszcze powie. Kiedy atoli milczenie trwało już nazbyt długo, odezwałem się niepewnie:

„Mam słabe zdrowie, nie pożyję długo”.

„Nie!” – wyszeptła z jakąś serdeczną mocą.

„Mam despotyczny, zły charakter” – dodałem jeszcze.

„Nie!” – powtórzyła.

„Jestem synem szynkarza z przedmieścia Świętego Wojciecha. Doprawdy, dość mam już tych napaści na mnie. Gazety, nie daj Boże, zatrzęsłyby się od wyzwisk, gdybyśmy... To jest także sprawa godności człowieczej. Mamy przecie swój honor i choćby ze względu na dobro ojczyzny nie wolno nam się go wyzywać” – wysuwałem coraz to nowe argumenty.

Patrzyła na mnie z przerażeniem w oczach, jak ktoś odpychany i bity. Wyrzekłem ostatnie zdania wybuchając, omal nie krzycząc. Ona już nawet nie oponowała, jeno bez słowa patrzyła długo na mnie. Ja, doprawdy, także nic już więcej nie mówiłem.

Wysiedliśmy z powozu, kierując się do traktierni. Gdy stanęliśmy pod jej drzwiami, jakby odmienił się cały świat. Ujrzałem na obliczu Emilii serdeczny, życzliwy uśmiech, jakim zawsze darzyła przyjaciół. Zdawało się, że nic między nami nie zaszło, że nie było wcale między nami owej rozmowy, co się przed paroma sekundami zamknęła.

Szepnąłem jej do ucha:

„Jesteś, Emilio, aniołem, jak zawsze. Nie przestanę cię kochać do końca mych dni”.

Przed obiadem wypiliśmy po kieliszku czerwonego wina z zakąską z dziczyzny. Rozmawialiśmy o miłym urządzeniu lokalu, w którym siedzieliśmy. Podobał się nam, lubo powietrze w nim zamglone było tytoniowym dymem. Zeszliśmy wspominkami na sale poznańskiego Bazaru. Opowiadałem o otwarciu hotelu i restauracji w pierwszej połowie grudnia. O tym, jakich kupców ulokowaliśmy w bazarowych składach. Wymieniałem wszystkich przemysłowców: papiernika, bawelnika, szewca, zbożowca, tytoniarza, siodlarza, mydlarza, zegarmistrza, litografa, cukiernika i na koniec księgarza, Walentego Stefańskiego. Słuchała z zajęciem, obiecując przyjeżdżać z Pakosławia do Bazaru po zakupy, skoro jeno wróci na wieś. Wspomniałem, że Stefański – człowiek równy mi pochodzeniem, bo syn rybaka z Chwaliszewa – powołał w

ostatnich dniach minionego roku tajną organizację patriotyczną, kierującą się jednakowoż swoistą ideologią, pod nazwą Związku Plebejuszy. Przypomniałem jej swą długą walkę o Bazar – właściwie naszą walkę, którą toczyliśmy nade wszystko wspólnie w Maciejem Mielżyńskim. Opowiedziałem o pierwszym posiedzeniu, które trzy i pół roku temu odbyło się w moim mieszkaniu. O pracach komitetu, o położeniu kamienia węgielnego, o budowie, o wybraniu mnie na dyrektora spółki. Opowiedziałem o kłopotach, jakieśmy mieli z budową: o płytkim i lichym wykonaniu fundamentów, o rysach w murze wznoszonej sali, o szemraniach niektórych ludzi już na samym początku i o przeszkodach wysuwanych przez Prusaków. O tym, jakieśmy przewyciężali te wszystkie trudności, lubo wielu ludziom wydaje się, iż szło nam wszystko gładko jak po lodzie. Były dotkliwie kłopoty, spędzające nam sen z oczu. Każde niepowodzenie, nad którym sam nieraz bolałem – dawało sposobność do urabiania o mnie złej opinii.

„Złej opinii?” – przerwała mi Emilia. „Toć wiesz, że wszyscy są za tobą. Sameś mówił, iż zarząd zamierza jutro wystąpić do gazety z wyrazami oburzenia. Dostyc już tego! Nie wolno ci dziś już więcej powracać do tych spraw. Po tom wywiozła cię tu, żebyś o nich zapomniał. A jutro w swoim domu wyprawię ci imieniny! Krewniacy moi sproszą gości i musisz razem z nimi bawić się wesoło. Lubo, po prawdzie, bez ustanku powraca mi do głowy myśl, żeś powinien być tam, na owym uroczystym obiedzie w Bazarze. Jak się od tego wymówiłeś?”

Roześmieliśmy się oboje, po czym wyjaśniłem jej, że całkiem ordynaryjnie oznajmiłem to Maciejowi Mielżyńskiemu i poddałem propozycję, by miasto rozprawić na uroczystości o moich zasługach, przeprowadzono kwestę na cele dobroczynne. Pojął mnie, doprawdy, lubo targował się ze mną przez długi czas. Na koniec poprosił, bym napisał list do uczestników obiadu.

„I napisałeś ten list” – oświadczyła Emilia, nie czekając, co powiem. „Myślę, że pokażesz mi go, bym mogła przeczytać”.

Roześmieliśmy się jeszcze raz. Och, doprawdy, jak ona mnie dobrze znała!

Nic nie mówiąc, wyjąłem z kieszeni arkusz papieru i podałem go jej. Spojrzała na mnie filuternie i zwróciła mi go, ku

memu zdumieniu. Atoli powiedziała zaraz tonem proszącym, błagalnym:

„Karolu, przecie to są twoje słowa. Wolałabym, byś je sam czytał”.

Chciałem protestować, atoli rozejrzawszy się po sali, stwierdziłem, że jest w niej nadal niewiele osób, a sąsiednie stoły pozostają puste. Była dziś taka miła jako nigdy, nie mogłem więc jej odmówić i począłem przytłumionym głosem czytać:

„Choć w oddaleniu, myśl moja do was w tej chwili powraca, Kochani Ziomkowie. Zebraliście się w dniu dzisiejszym, by mi dać dowód swej przychylności i by szczerym sercem moją krzepić otuchę. Niech mi będzie wolno podziękować, a zarazem wyjawić Wam moje życzenia przepelniające serce.

Boże daj, bym zupełnie potrafił zapomnieć o sobie, bym wyrzeczeniem się samego siebie doszedł do owej doskonałości, jakiej Zbawiciel Świata po zwolennikach swojej nauki wymagał”.

Przy ostatnich słowach głos coraz bardziej wiązał mi w gardle. Wyrażały one moje najskrytsze uczucia, nie mogłem więc czytać ich spokojnie.

Emilia pojęła swój błąd. Beztroska znikła z jej oblicza. Kiedyś ze wzruszeniem dalej już listu swego czytać nie mógł – wyciągnęła rękę, bym podał jej arkusz. Powiedziała:

„Przebacz mi, Karolu. Atoli słowa twoje są mi zbyt drogie, bym się z nimi nie zapoznała”.

Wodziła teraz sama wzrokiem po arkuszu. Skończywszy czytanie, spojrzała na mnie, atoli zaraz wróciła do listu i po jakowymś momencie odczytała ostatni jego fragment głośno:

„Oświata i praca, użyteczna towarzystwu ludzkiemu – oto są środki potrzebne do utorowania gościńca, wiodącego do podniesienia godności narodu naszego. Zachęcajmy siebie wzajemnie, działajmy na drugich, na młodszych, na mniej szczęśliwych od nas braci, ażeby przyszłe pokolenie do lepszej przyszłości usposobić”.

Położyła papier na stole i uśmiech powrócił na jej oblicze.

„Oto są mężne słowa – rzekła – od których serce rośnie i myśl jaśnieje. Atoli na tym już koniec. Teraz wolno nam rozmawiać jeno o rzeczach pogodnych i wesołych”. Wskazała ręką w głąb sali. „A oto ober spieszy nam z pomocą w spełnieniu tego postanowienia” – powiedziała z uśmiechem.

Poszedłem wzrokiem za jej ręką. Istotnie, ober niósł tacę z zamówionymi potrawami.

Obiad przebiegał nam w beztroskim nastroju. Było jeszcze wino, wypiliśmy i kawę.

Kiedyśmy wyszli z traktierni – słońce świeciło jasno. Atoli kiedy po drodze z Poczdamu do Charlottenburga wysiedliśmy w lasku z powozu, by zaczerpnąć świeżego powietrza – słoneczna kula spadała za horyzont. Jeszcze jeno w bocznej dróżce leśnej lunęła nam prosto w oczy kaskadą promieni i zaraz potem, wisząc nad samym zachodem, zarumieniła się gamą tęczy i zabarwiła zbierające się tam chmurki.

Tu, w lesie, śniegowe płaty pokrywały jeszcze gałęzie niektórych świerków i kępkami otulały gdzieniegdzie ziemię. Kiedyśmy stąpali po jednej z takich kęp, śnieg skrzypiał nam pod nogami. Zanosiło się na nocny mróz.

Dopiero tu Emilia poprosiła mnie niespodziewanie o pokazanie owego znalezionej pod Kórnikami pierścionka. Gdy go jej podałem, długo oglądała mieniący się w ostatnich promieniach krążek złota. Zastanawiała się, czyj to może być monogram, a na koniec oświadczyła:

„W Kórniku bywają rozmaici ludzie wysokiego urodzenia. Może go tam zgubił ktoś z rodu Raczyńskich? Radziwiłłów? Rymarkiewiczów? Rzepeckich? A może Madalińskich? Malczewskich? Moraczewskich? Mycielskich? Morawskich?”

Na nic zdało się snucie tych domysłów. Powiedziałem wreszcie:

„A może winienem oddać to w kórnickim zamku?”

Wyśmiała mnie.

„Zachowaj to, niech przypomina ci siostrę. Jeżeli nawet to nie jej pierścionek. Wszak przypomniał ci ją zaraz za pierwszym razem?”

Kiedy słoneczna kula spadła za horyzont, wróciliśmy do powozu. Jechaliśmy teraz w zupełnym mroku, który dopiero śródmięście rozjaśniło nieco lampami ulicznymi.

Emilia nie w pełni dotrzymała słowa. Nie wróciliśmy co prawda w rozmowach do moich spraw, atoli wieczorem, kiedy w saloniku a zasię w jadalni zebrała się młodzież i siedzieliśmy w większym gronie – opowiadała o swych działaniach politycznych, o tych wszystkich spiskach, bez których żyć nie mogła. A to akurat te sprawy nas rozdzielały. Jam bowiem nadal nie brał udziału w pracach konspiracyjnych. W tym

punkcie nasze uczucia patriotyczne różniły się, rozchodziły się jakoby w dwie różne strony.

Niedzielę spędziliśmy znów po części na samotnym z Emilią spacerze, podczas którego zaszliśmy i do kościoła, po części zaś na konwersacjach i zabawach z młodzieżą. Uroczysty obiad poświęcony został moim imieninom, nie było na to rady. Toteż tego dnia nie będę tu opisywał, bowiem opis taki, doprawdy, zawstydzaliby mnie. Dodam jeno, że w czasie obiadu i popołudniowej kawy Emilia bez ustanku usiłowała wystawić sobie, co też w tym samym momencie dzieje się w poznańskim Bazarze.

Poniedziałek i wtorek były dniami odwiedzin berlińskich przytułków, gdzie szukał wzorów do mej pracy w Poznaniu. Złożyłem także wizyty medyczne kilku mieszkającym na stacjach młodym a niezamożnym ludziom, wskazanym mi przez Emilię jako ci, którzy potrzebują pomocy.

Azaliż to dziwne, że przedsięwzięta po tym wszystkim podróż do Poznania utrudziła mnie niepomiernie? I że była nudna? Za to utrudzenie i za ową nudę zostałem – jak to bywa w świecie – doprawdy sownie wynagrodzony powitaniem w domu.

Mieszkałem po staremu w kamienicy aptekarza Kolskiego na Starym Rynku, gdzie w dwóch izbach moich gospodarzył stary sługa, żyjący po spartańsku jako i ja sam. Kiedym prosto z poczty wszedł do sieni, powitał mnie takimi oto słowami:

„Nareszcieś pan doktor przyjechał, bo tu bez żadnego ustanku ludziska pytają i pytają, jakoby cały Poznań raptem ciężko zachorzał. A najbardziej to się dopytuje pan profesor Cegielski. Chodzi i chodzi już ze trzy dni, rano, w południe i wieczorem. Jeno patrzeć, jak tu znowu go zobaczymy”.

W istocie, Cegielski przyszedł, ledwie zdążył umyć się i zjeść wczesną wieszczkę. Przeglądałem akuratanie oczekujące mnie listy. Był pośród nich list uczestników niedzielnej uroczystości w Bazarze, w którym zapewniano mnie między innymi:

„Wierzaj nam... będziemy pracować nad sobą, nie aby Ci dorównać, lecz żeby wskazanym przez Ciebie przykładem dążyć do uszczęśliwienia innych, do utworzenia pomyślniejszych widoków dla przyszłych pokoleń... abyś jakkolwiek znudzony światem i ludźmi, a może ustawicznie gnębiony niepojęciem Twej myśli i poświęceń, zaprzestał nateżeniem i podjętą pracą nad siły trawić się jakby umyślnie i niszczyć...”



Znalazłem w poznańskich gazetach wzmianki o uroczystości, podano w nich wysokość zebranej składki na dobroczynne cele – 424 talary. Dużo pieniędzy!

Zdążyła nadejść z Lipska „Leipziger Allgemeine Zeitung”, w której redakcja skrupulatnie zamieściła oświadczenie Zarządu Bazaru, podpisane przez Karola Stablewskiego, Macieja Mielżyńskiego, Józefa Szuldrzyńskiego, Stanisława Powalskiego i Gustawa Potworowskiego. Po paru wstępnych zdaniach na temat odbytej uroczystości, autorzy wystąpili przeciwko insynuacjom, zawartym w korespondencji noworocznej owego „v.K.”. Znalazły się i słowa uznania dla mnie.

Przy owej akuratnie lekturze zastał mnie Hipolit Cegielski. Wszedł rozpromieniony, pełen właściwego sobie, młodzieńczego wigoru. Był dużo młodszy ode mnie, nie miał jeszcze trzydziestu lat. Nie wyglądał na pacjenta, tuszyłem więc, że nachodził mnie z nadmiaru troski o zdrowie swej młodej małżonki, która pewnie przeżybiła się w karnawale na jakimś balu.

Podzieliłem się z gościem tymi domysłami, powitawszy go przyjaźnie. Aliści on zaraz się od nich odzegnał:

„Ja nie po poradę medyczną przychodzę, panie doktorze, jeno po całkiem inszą. Moja połowica jest, Boga chwalić, zdrowa. Aliści, widzisz pan, kiedy pragnie się młodzieży przekazać prawdę o życiu...” Tu się zmiarkował, chrząknął i nie kończąc rozpoczętej myśli, zaczął się sumitować: „Pierwej jednakowoż przepraszam, że tak nachodzę, służący zdążył pewnikiem oznajmić. Poczytuję to sobie za zaszczyt i za wyjątkowe szczęście, że mogę widzieć cię zaraz po twoim powrocie”.

„Och, gaduła z pana, profesorze, jak każdy nauczyciel” – przerwałem mu. „I na dobitek literat. Doprawdy, proszę mi powiedzieć, co pana do mnie sprowadza?”

Cegielski zarumienił się jak panna.

„Myślałem o dwóch odmiennych problematach” – rzekł. „Jeden, to ta myśl moja, dla której pragnę oparcia w panu. To, żeśmy winni pod zaborami raczej budować polskość, niżeli ją wyniszczać utratą krwi. Pan jesteś tym, co tak czyni i jest już w tym dziele zasłużonym...”

„Na Boga, zaniechaj pan tych peanów, bo mnie pan zawstydzasz” – przerwałem mu. „Doprawdy, nie mogę wciąż słuchać pochwał, nawet po tym, nie daj Boże, paszkwilu w lipskiej gazecie”.

„...pan mógłbyś mnie upewnić, azali myślę słusznie, azali taką prawdę mogę przekazywać polskiej młodzieży” – dokończył Cegielski.

„Tuszę, iż ojczyzna będzie miała z pana pożytek, profesorze” – odpowiedziałem. „Pana udział w pracach społecznych jest już znaczny. Przecie to pan opracowałeś zarys ustawy dla szkoły realnej, której założenie jest jednym z pragnień naszego mądrego hrabi, Edwarda Raczyńskiego. Równie cenna jest pedagogiczna rozprawa pańska *O zasadach wychowania po szkołach wyższych*. Ogromnie spodobała mi się opublikowana nie tak dawno w «Orędowniku Naukowym» praca o powstaniu mowy i poszczególnych języków. Nader interesująco wsparłeś pan swoje wywody na dociekaniach filozoficznych, nie dysponując dostatecznymi dowodami historycznymi. Czytałem także insze prace pana. Jak pan widzisz, ordynaryjny medyk, babrzący się w przyziemnych sprawach ludzkiego zdrowia, nie ma takich ciasnych horyzontów, jakby się to mogło zdawać”.

Mój gość zaczerwienił się mocniej, na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

„Ależ doktorze, to pan mnie teraz zawstydzasz tymi pochwałami” – wyjąkał.

„Już przestaję i więcej nie będę, jeżeli pan nie zaczniesz mnie znówu nimi zasypywać” – zapewniłem go.

Cegielski zamyślił się nagle i po chwili rzekł:

„Widzisz pan, doktorze, jako filozof i filolog bywam często gościem nowej księgarni pana Stefańskiego, otwartej w grudniu przeszłego roku w Bazarze”.

„Pojmuję” – powiedziałem, domyśliwszy się, w czym rzecz. „Ten drukarz zamierza wciągnąć cię do tego swego Związku Plebejuszy?”

„Tak tego dosłownie powiedzieć nie można. On by nie śmiał zaproponować mi wprost. Atoli wie, że jako młody człowiek, wchodzący dopiero w życie, nie zdecydowałem się jeszcze w sposób ostateczny, po jakiej stronie zamiaruję się opowiedzieć, i w rozmowie daje mi do zrozumienia, że powinienem wybrać jakąś drogę”.

Cóż miałem rzec temu dzielnemu, szlachetnemu, mądrymu mężowi. Zapytałem go:

„Mam rozumieć, że pan mi zaufałeś? Że żądasz rady ode mnie?”

„Nie inaczej” – oświadczył. „Ufam każdemu twemu słowu, panie doktorze”.

Przesiedzieliśmy jeszcze niemało minut. Nie powtórzę tu całej naszej rozmowy. Nie namawiałem go do niczego, przedstawiałem jeno swe racje. Przyznawałem, że – być to może – potrzebni są wyznawcy zarówno jednej, jak i drugiej idei, ci co prowadzą pracę nad narodowym gospodarstwem, kulturą i oświatą, jak i ci, co przygotowują się do zbrojnej rozprawy z wrogami Polski. Ja po doświadczeniach powstania listopadowego, któremu oddałem się cały, nie zamierzam brać udziału w gotowaniu następnej rewolucji. Zakończyłem rzecz tymi słowami:

„Nie wojna, ale pokój jest urodzajną porą, sprzyjającą krzewieniu się ducha czasu, który kiedyś przedrzeć musi despotyzmu zasłonę...”

Obserwowałem Cegielskiego, kiedy mnie słuchał, i czułem, że w duchu przyznaje mi rację, że jesteśmy bliscy sobie. Oczywiście, nie deklarował się w czasie naszej rozmowy i ja go do tego nie nakłaniałem. Toczyła się ona dosyć nieporządnie, zbaczaliśmy na rozmaite sprawy, aż na koniec zeszło i na to, kto kryje się za owymi dwiema literkami „v.K.”, co sygnowały oszczerczy artykuł w noworocznym „Leipzigerze”. Kto ma interes w tym, by rozbijać grono patriotów, skupionych wokół Bazaru? Kiedym wyraził przypuszczenie, że to ponad wszystko Prusacy są zainteresowani osłabianiem polskiej jedności, mój gość uśmiechnął się tajemniczo, zadumał się na moment, potrząsnął przecząco głową i począł mówić:

„Niewątpliwie, Prusacy są tym zainteresowani. W ogóle wszystkie grupy niepolskie niezadowolone są z tego, że Polacy chcą separować się na gruncie towarzyskim, że zwłaszcza chcą bywać w oddzielnej traktierni. Czyż pan jednak, doktorze, nie pamiętasz, z kim to były awantury przy wejściu do Bazaru? Kto na siłę pchał się do jego wnętrza, uciekając się nawet do rękoczynów?”

Pojałem snadnie, co miał na myśli. Swego czasu jeden, zaś kiedy indziej drugi przedstawiciel żydowskiego kupiectwa, zachowali się niewłaściwie, kiedy portier – zgodnie z regulaminem – pytał, do kogo ci panowie wybierają się, kogo pragną odwiedzić w hotelu. I pierwszy, i drugi spoliczkował portiera. Azaliż...

„Mój panie – powiedziałem – wolę nikogo nie oskarżać. I

doprawdy, nie byłoby dobrze pogłębiać przepaść między różnymi grupami społecznymi. Winniśmy być solidarni z każdym, dla kogo Niemcy są wrogami”.

„Solidarni i z tym, co nas przed Niemcami szkaluje?”

„Nie mamy na to żadnego dowodu. A jeśliby nawet... Nie dziw się nazbyt Żydom, profesorze, że nie chcą być izolowani. Jeżeli pragniemy, żeby nas rozumiano, musimy i my rozumieć inszych”.

„Pan jesteś, jak zawsze, aniołem, panie doktorze! Nastawiasz pan drugi policzek, kiedy uderzają cię w jeden. Azali ta ewangeliczna cnota w życiu publicznym...”

Nie dokończył, zaraził się moim śmiechem, co opańował mię po pierwszym wykrzykniku jego.

„Och, jaki ze mnie anioł! Boże daj nie za dużo takowych aniołów jak ja!”

Cegielski nie został przekonany, atoli i ja trwałem przy swoich poglądach na temat Żydów. Widząc, że koniec końców gość zbiera się do pożegnania, zatrzymałem go jeszcze, pytając:

„A jaka jest ta druga prawda, o której pan wspomniał na początku?”

Młody filolog milczał przez moment, uśmiechał się jeno znacząco.

„To była akuratnie ta o Żydach” – rzekł nareszcie.

Jeszcze raz roześmialiśmy się razem i Cegielski pożegnał mnie.

Po jego wyjściu nie zwlekałem już ze spoczynkiem. Ułożyłem się, zasnąłem rychło, w dobrym nastroju. Miałem w gruncie rzeczy już całkiem poza sobą przykry incydent, wywołany przez lipską gazetę, a zakończony po prawdzie w sposób nader szczęśliwy.

Tak, moja praca zyskała uznanie – rozmyślałem zasypiając. Czegoż miałbym pragnąć więcej? Garną się do działalności polskiej bez ustanku nowi ludzie, choćby i ten młody profesor. Pośród nowo osiadłych w Bazarze kupców znaleźli się młodzi ludzie wykształceni z pomocą stypendiów Towarzystwa Pomocy Naukowej. Jest jeszcze tyłu, których trzeba wspierać, leczyć, łączyć, inspirować... Muszę jutro rychło rano wstać, obejść tych moich najmilszych pacjentów, tych, co nie kalają mi ręki honorariami... Doprawdy, ileż pracy! I ileż z niej radości!

Nie wiem dlaczego, aliści na pewno z owej radości, przy-

pomnił mi się ów złoty pierścionek, który nosiłem wciąż jeszcze w kieszeni surduta. Surdut wisiał opodal łóżka w zasięgu ręki, przeto sięgnąłem do kieszeni... Och, czemuż nie darowałem go Cegielskiemu? Powinienem był mu go dać! Pozbyłbym się niepotrzebnej mi rzeczy, a on miałby nagrodę za... No tak, za co? Przecież wszystko, co dajemy ojczyźnie, jest już nagrodą dla nas samych... •

A swoją drogą dam ten pierścionek jutro pierwszej znajomej osobie, jaką spotkam na ulicy, jeżeli uznam, że osoba ta służy ojczyźnie całym sercem.